

**JANUSZ JAN ZWOLINSKI**  
*wspomnienia*

**Odysea “Oportunisty”**

*część I*  
**KONIEC PEWNEJ ERY**

WYDAWNICTWO ON-LINE  
BuyArt.PL 2008

**Wszystkie prawa zastrzeżone przez Janusza Zwolińskiego  
na podstawie licencji Creative Commons  
Autor zezwala na kopiowanie, rozpowszechnianie i upublicznianie  
tego utworu z zachowaniem następujących warunków:**

- 1. Utwór nie będzie używany sprzecznie z zamysłem autora ani transformowany.**
- 2. Autor i tytuł utworu będą zawsze podawani w całości i bez zmian.**
- 3. Użytkownik nie wykorzysta tego utworu do celów komercyjnych.**

## Wstęp

Teraz, gdy osiągnąłem wiek emerytalny, chciałbym wspominać moje życie i zaznaczyć te ważne momenty, które mogą być interesujące dla następnych pokoleń. Chciałbym, aby moje wnuki wiedziały, jakim byłem człowiekiem, co ważnego zdarzyło się w moim życiu, jak na to reagowałem i w jaki sposób wydarzenia wpływały na moje późniejsze życie.

Pewien sławny generał napoleoński, który brał udział w wielu kampaniach, podczas powstania listopadowego w 1831 roku powiedział: „Celem moich pamiętników jest przekazanie tej mądrości, jaką nabyłem w życiu”. Podobnie ja chcę przedstawić swoje poglądy na wydarzenia, których byłem uczestnikiem, aby pokazać moim dzieciom i wnukom, jak można radzić sobie ze światem zewnętrznym i analizować sytuacje, w których bierzemy udział przez całe nasze życie. Młodzi zwykle nie postrzegają wydarzeń na skalę światową tak, jak je widzi starsze pokolenie.

Młodzi mają ogromne pokłady energii, większe niż starsi, ale ci ostatni posiadają większą mądrość i są w stanie patrzeć na wydarzenia w sposób bardziej realistyczny niż młode pokolenie. Krótko mówiąc, celem moich pamiętników jest pokazanie młodym, iż możemy ich nauczyć, w jaki sposób – dzięki naszej odwadze i determinacji – dawaliśmy sobie radę w trudnych momentach życiowych. Ta myśl przyświecała mi podczas pisania pamiętników. Być może moje doświadczenia będą przydatne dla moich wnuków, którzy często będą mogli wyobrazić sobie, jak przeżywałem swoje własne życie. Dlatego chciałbym opisać fakty tak, jak je sam odbierałem. Moje osobiste odniesienia służą jedynie jako wyjaśnienie tych wydarzeń.

*Mapa – położenie Polski i innych krajów w Europie*

*Mapa – przed inwazją niemiecko-rosyjską we wrześniu 1939 roku*

## Dzieciństwo

Urodziłem się szesnastego lipca. Matka wspominała, że tego dnia była burza. Narodziny odbyły się w prywatnej klinice w Warszawie niedaleko Wisły. Pamiętam, że kiedy miałem 3 czy 4 lata, poszedłem do tej kliniki na badania określające poziom inteligencji, gdyż rodzice martwili się o moje zdrowie, jako że byłem dzieckiem delikatnym, wrażliwym i płochliwym.

Byłem jedynym synem, a wychowywała mnie ciotka Jadwiga, młodsza siostra mojej mamy, która mieszkała u nas przez dłuższy czas przed zamążpójściem - i służące. Moja matka była osobą udzielającą się towarzysko i miała wiele przyjaciół. Przed II wojną światową powodziło nam się całkiem dobrze, rodzice mieli dość pieniędzy na dostatnie życie i przyjmowanie wielu gości. Ojciec pracował w Państwowych Zakładach Lotniczych, gdzie produkowano silniki do samolotów wojskowych (PZL w dalszym ciągu jest na Okęciu w Warszawie, co odkryliśmy z Rennie podczas naszej wizyty w 1991 roku). Wówczas Zakłady mieściły się w dwóch budynkach – w jednym produkowano silniki, a w drugim kadłuby samolotów. Dzięki dobrze płatnej pracy ojca mieliśmy apartament w samym centrum, gdzie obecnie znajduje się Pałac Kultury i Nauki, skąd blisko było do sklepów, teatrów, kin, czy szkoły lub parku.

*Zdjęcie – Janusz Jan Zwoliński. Fotografia z 1929 roku (kiedy miałem dwa lata)*

*Zdjęcie – moja matka Zofia Szafrńska przed ślubem, z moim ojcem*

Najwcześniejszym momentem, jaki pamiętam – oprócz badań psychologicznych w 1930 lub 1931 roku – był mój chrzest w Kościele Wszystkich Świętych.

Nie wiem, dlaczego ochrzczono mnie tak późno. Mój ojciec miał wówczas 43 lata i sądzę, że wcześniej był już żonaty, zatem czekał trzy lata, aby móc poślubić moją matkę i dać mi swoje nazwisko. Jest to dla mnie w dalszym ciągu tajemnicą. Wówczas w katolickiej Polsce rozwody nie były dozwolone i jeśli matka nie była oficjalnie zamężna z ojcem, uważany byłbym za nieślubne dziecko, co byłoby poważnym obciążeniem społecznym. Myślę, że rodzice pobrali się nie w kościele katolickim, lecz w polskim kościele narodowym podobnym do kościoła anglikańskiego.

Do roku 1931 nie pamiętam wiele z wyjątkiem paru szczegółów, jak badania lekarskie, chrzciny i wakacje.

Zwykle mój ojciec wyjeżdżał na urlop w lecie do pensjonatu lub przyjaciół, którzy mieszkali poza miastem. Kiedy mieszkaliśmy u przyjaciół ojca, do łóżka kładły mnie spać nianie. Piastunki pochodziły ze wsi i znały wiele opowiadań o duchach i nieszczęśliwych kochankach, więc straszyły mnie na przykład porwaniem przez ducha, jeśli nie pójdę grzecznie spać. Było to okrutne z ich strony, bo choć bardzo mnie kochały i dbały o mnie, nie zdawały sobie sprawy, jaki wpływ przesady mogą wpływać na umysł kilkuletniego chłopca. Wieczorami, gdy spałem, moi rodzice przyjmowali gości.

*Zdjęcie – mój ojciec w armii rosyjskiej (bez czapki). Zdjęcie zrobione w Samarze, 12 września 1911 roku*

*Zdjęcie – mój ojciec w styczniu 1939 roku*

Moja matka bardzo dbała o moje wychowanie. Ojciec był bardzo zajęty pracą do późnych godzin, widywałem go więc dopiero koło siódmej wieczorem. W soboty i niedziele ojciec zabierał mnie na mecze, parady wojskowe, do zoo lub cyrku, kina, muzeum. W porównaniu ze Stanami, relacje z ojcem były bardziej formalne niż moje obecne kontakty z dziećmi. To wyjaśnia, dlaczego nie znałem zbyt dobrze swojego ojca, gdyż nie zadawałem pytań bez pozwolenia. Nie do pomyslenia było krytykowanie ojca czy kłótnie; ojciec miał zawsze rację i był głową rodziny. Matka kochała mnie i dbała o mnie – ojciec rządził; niemniej byliśmy obaj bardzo do siebie przywiązani.

W Polsce istniały wówczas klasy społeczne. Najniższą klasę stanowili chłopcy, szczególnie ze wschodniej Polski, posiadający niewielkie gospodarstwa rolne i obarczeni gromadką dzieci. Wiele dziewcząt przybywało do miasta za chlebem, a przy tym przechodziło edukację i uczyło się dobrych manier. Generalnie ludzie ze wschodniej Polski byli gorzej wykształceni niż z zachodniej, gdzie był wyższy poziom życia.

W małych wioskach nie było światła, gotowanie było prymitywne i wyszkolenie służącej zajmowało wiele czasu i wysiłku. Dziewczęta uczone jak rozpałać ogień, gotować, opiekować się dziećmi, podawać posiłki, czy wychodzić z dziećmi na spacer. Nie było wówczas supermarketów i po każdy produkt trzeba było iść do określonego sklepu – po mięso do rzeźnika, po marchew do warzywnego, po bułki i chleb do piekarni, po jaja i ser do nabiałowego, itp. Edukacja służącej trwała około pół roku, a potem dziewczyna stawała się wyszkoloną służącą.

Nie było pralek automatycznych, więc do prania trzeba było zamawiać praczkę. Po roku czy dwóch służąca stawała się członkiem rodziny, dbano o nią podczas choroby, oddawano ubranie dla rodziny na wsi i opiekowano jak własną córką.

Służące nie otrzymywały dużej pensji w porównaniu z dzisiejszymi standardami. Praktycznie były do dyspozycji 24 godziny na dobę, a w dniu wolnym nie miały dokąd pójść. Zostawały więc przy rodzinie tak długo, jak to było możliwe, o ile nie znalazły lepszej pracy lub nie wyszły za mąż.

Nasze służące nauczyły mnie folkloru. Wieczorami snuły opowieści oparte na legendach chłopskich, pełne zrad, zemsty, nieszczęśliwej miłości, niespełnionych obietnic i duchów. Wschodnia część Polski, należąca obecnie do Białorusi i Ukrainy, pokryta była lasami, w których żyły wilki, niedźwiedzie i inne dzikie zwierzęta, które podchodziły w poszukiwaniu żeru do siedzib ludzkich. Stawały się źródłem legend - wilki zmieniały się w wilkołaki, niedźwiedzie w duchy, a nietoperze w wampiry.

Opowieści snute przez służące odzwierciedlały ich nadzieje i uczucia. Szczególnie duchy grały główne role w tych opowieściach, jak i nieszczęśliwe przypadki; opowieści pozwalały zmieniać odczucia opowiadającego i wzbogacać jego życie.

Wiele dziewcząt było bardzo religijnych i oczywiście przesądnych, gdyż niewykształconych. Choć prostolinijne, dziewczyny były bardzo uczciwe.

Jedną z pozytywnych cech tych opowieści była uczciwa kara za grzechy. Jeśli ktoś oszukał drugiego, został za to ukarany. Nauczyłem się tego wcześniej w życiu i to wpłynęło na moje późniejsze zachowanie.

Jednej nocy, gdy byliśmy u przyjaciół ojca, poszedłem spać razem z rówieśnikami – miałem wtedy cztery czy pięć lat – i nie chciałem odmawiać pacierza, do którego namawiała mnie niania. Postraszyła mnie wtedy, że nocą przyjdzie anioł i ukarze mnie za to. W nocy w pewnej chwili obudziłem się i poczułem rękę na policzku; i choć nie widziałem nikogo, usłyszałem głos „jesteś niegrzeczny, dlaczego nie odmówiłeś pacierza?” Bardzo się wystraszyłem i od tego czasu grzecznie odmawiałem pacierz przed pójściem spać.

Nie wiem, czy to była autosugestia, czy naprawdę przyszedł do mnie anioł. Takie historie opowiedane przez służące mogły lub nie musiały mieć na mnie wpływu. Wierzę, że dziewczyny miały uczciwe zamiary i choć czasem ich opowieści zawierały w sobie element okrucieństwa, to zawsze złe postępowanie zasługiwało na słuszną karę.

Pamiętam pewne wakacje, gdy miałem 4 lata. Wyjechaliśmy na południe do Kołomyi, blisko granicy z Rumunią i przebywaliśmy w niewielkim hotelu w Karpatach. Obecnie ta część należy do Mołdawii, a poprzednio do ZSRR, kiedy Armia Czerwona wkroczyła do Polski w

1939 roku. Niektóre szczyty górskie sięgały 1500 metrów, a teren pokryty był drzewami iglastymi. Przy hotelu stał przyjazny bernardyn zaprzęgnięty do wózka, którym pojechałem razem z nianią w góry, gdy rodzice wyjechali do Czerniowic. Pamiętam przepiękne widoki, gdy stałem nad przepaścią i patrzyłem na góry, na niewielki potok przepływający szybko przez wąwóz.

Lokalne społeczeństwo należało do kościoła prawosławnego, ludzie byli religijni i bardzo mili. Pamiętam, że mleko było o wiele smaczniejsze niż w Warszawie. Z mleka koziego i owczego robiono sery, białe i żółte. Kiedy patrzę wstecz, myślę, że te wakacje były pełne wspomnień, uroczych i niezapomnianych: wielki pies, smaczne jedzenie, przepiękne widoki, świeże powietrze, mili ludzie i sporo zajęć.

*Mapa – miejsce, gdzie wyjechaliśmy na wakacje, kiedy miałem cztery lata (obecnie na Ukrainie)*

Pamiętam również inne wydarzenie, gdy miałem 4 czy 5 lat, kiedy wybrałem się z mamą przed Bożym Narodzeniem do wielkiego sklepu handlowego, w którym były pierwsze ruchome schody w Warszawie. Na ostatnim piętrze był pokaz dla dzieci, który chciałem bardzo zobaczyć. Ciągnąłem mamę za rękę, która zniecierpliwiona powiedziała, że jeśli tak bardzo chcę zobaczyć elfy i renifery, to mogę iść sam – i puściła moją rączkę. Tłum porwał mnie na ruchome schody i znalazłem się na górze. Matki nie było ze mną, więc zszedłem na dół, gdzie ostatni raz ją widziałem. Dowiedziałem się potem, że ona również mnie szukała w zatłoczonym przed Świątami sklepie. Nie mogąc jej znaleźć, zdecydowałem się pójść do domu. Szedłem powoli, bo było już ciemno i zaglądałem po drodze do witryn sklepowych, wystrojonych na Boże Narodzenie. Doszedłem do domu po około godzinie. Kiedy zadzwoniłem, służąca aż otworzyła usta ze zdumienia – wszyscy mnie szukali: matka, pracownicy sklepu, policja i obawiali się, że coś mi się stało. Zaalarmowany ojciec wrócił wcześniej z pracy i miałem obiecanie lanie od matki, która nadal mnie szukała. Wystraszony schowałem się pod kanapą, ale matka tylko odetchnęła z ulgą, kiedy wróciła do domu. Obiecałem sobie nigdy nie opuszczać matki. Wszyscy zachwycali się, jaki jestem bystry, że sam wróciłem, a miałem wtedy w grudniu 1931 roku niecałe 5 lat.

*Zdjęcie – matka i Janusz (4 lata) na ulicy Marszałkowskiej*

Tego roku poszedłem do przedszkola, gdzie głównie rysowałem i malowałem, co było moim ulubionym zajęciem i zawsze oczekiwałem pochwał od nauczyciela za swoje rysunki. System edukacyjny w Polsce wówczas był jednolity i zapewniał wszystkim podstawowe wykształcenie. W USA system jest różny w różnych stanach i szkołach, co powoduje ogromne problemy w gorzej rozwiniętych regionach.

W przedwojennej Polsce dzieci szły do szkoły podstawowej w wieku 6 lat, następnie do gimnazjum (klasy od 6 do 10), a od klasy 11 do 12 – do liceum, na zakończenie którego otrzymywały maturę. Następnie można było zdawać na wyższą uczelnię – uniwersytet, politechnikę czy inną szkołę wyższą.

Celem pobytu w przedszkolu było przygotowanie dziecka przez rok lub dwa do podjęcia nauki. Przedszkola były prowadzone zwykle przez instytucje prywatne. Szkoły podstawowe i gimnazja prowadzone były przez państwo; szkoły prywatne również mogły działać, lecz musiały zaadoptować taki sam program jako szkoły państwowe. W Warszawie były trzy państwowe gimnazja, które w rankingu osiągnęły wyższą pozycję od szkół prywatnych; aby dostać się do nich, należało zdać egzamin, który zwykle zdawał jeden uczeń na dziesięciu. Jedną z tych szkół było gimnazjum Batorego, do którego miałem uczęszczać od września 1939 roku.

Wspominając lata dzieciństwa, pamiętam wyjazd na wakacje do Kruszyny. Ze stacji kolejowej jechaliśmy powozem konnym do przyjaciół mojego ojca. Położono mnie spać, a rodzice zostali zaproszeni na przyjęcie u gospodarzy. Była gorąca lipcowa noc i okna na parterze, gdzie spałem, były otwarte na oścież. Nie mogłem zasnąć i słyszałem odgłosy z pomieszczenia obok. Zacząłem płakać i wtedy przyszła do mnie matka, która uspokoiła mnie i utuliła do snu.

Następnego dnia okazało się, że z pokoju rodziców zginęła torba, a ktoś włamał się w nocy do pokoju. Za oknem leżał drewniany kij. Policja rozpoczęła śledztwo, lecz nie znaleziono nikogo. Zrozumiałem, że zanim zasnąłem, słyszałem włamywacza, który zabrał biżuterię mojej matki.

Pamiętam również inne zdarzenie, podczas naszego pobytu na wsi, gdzie była stadnina koni do jazdy wierzchem. Ktoś wpadł na pomysł, aby przyprowadzić konie i nauczyć dzieci jeździć konno. Ponieważ byliśmy mali, każdego konia przy pysku prowadził koniuszy. W drodze powrotnej konie zaczęły lekko kłusować, a kiedy mój koń dostrzegł stajnię, puścił się galopem. Koniuszy próbował go złapać, ale koń biegł szybko przez ogród, a ja w końcu znalazłem się wrzeszcząc na żywopłocie, przy którym wreszcie koń się zatrzymał. Wszyscy

na tarasie zanosili się ze śmiechu. Było mi bardzo wstyd, ale teraz patrząc wstecz myślę, że było nierozsądne sadzać na konia tak małe dziecko.

## **Szkoła podstawowa**

We wrześniu 1934 r. zapisano mnie do drugiej klasy szkoły im. Mikołaja Reja, pisarza i poety, który tworzył na przełomie XVI i XVII wieku i znany jest z powiedzenia „Polacy nie gęsi, i swój język mają”. A trzeba wspomnieć, że pisano wówczas po łacinie, języku ludzi wykształconych. Szkoła była jedną z najlepszych prywatnych szkół w Warszawie, prowadzona przez Synod Luterński (obecnie mieści się nadal obok Kościoła Luterńskiego w centrum Warszawy).

Pamiętam, że w klasie było 28 uczniów, mieliśmy jednego nauczyciela, pana Goeverts, luterńskiego księdza, który ubierał się jak księża katolicy. Nasza klasa składała się z uczniów różnego wyznania: katolickiego, protestanckiego, żydowskiego, jak również prawosławnego. Zgodnie z zasadami Ministerstwa Szkolnictwa, mieliśmy uczyć się każdy swojej religii, więc co tydzień mieliśmy dwie lekcje, prowadzone przez odpowiednie osoby: do katolików przychodził na lekcję katechizmu ksiądz, Luteranie mieli swojego kapłana, a dzieci żydowskie zasad religii żydowskiej nauczał rabin. Nie wiem, czy ten system był aktualny również w kolejnych szkołach, gdyż podczas wojny chodziłem na tajne nauczanie, które ze względów bezpieczeństwa nie obejmowało nauki religii. Nie sądzę, aby w naszej klasie byli jacyś ateści czy agnostycy; każdy uczeń pobierał zagwarantowane prawem nauki w zakresie swojej religii. W pierwszej klasie do szkoły odprowadzała mnie ciotka Jadwiga. W klasie miałem czterech czy pięciu dobrych kolegów, a w trzeciej klasie miałem przyjaciela o nazwisku Kosiński, którego ojciec był właścicielem garbarni za Warszawą. Obaj mieliśmy rude włosy i siedzieliśmy w tej samej ławce. Myślę, że rodzice uczniów uczęszczających do tej szkoły byli dobrze sytuowani, gdyż czesne w prywatnych szkołach było dość wysokie. Nasza klasa stanowiła grupę z tej samej warstwy społecznej i nie było żadnego zróżnicowania pod względem wiary czy upodobań; nauczyciele i dyrektor bardzo dbali o otwartość umysłów swoich wychowanków.

W listopadzie 1935 roku wydarzyło się coś, co diametralnie zmieniło moją karierę w szkole im. Mikołaja Reja. Byłem wtedy w trzeciej klasie. Za składkowe pieniądze kupiliśmy nauczycielowi na urodziny czekoladowego zająca. Następnego dnia zajac zniknął z szuflady

nauczyciela. Nielubiany przeze mnie kolega oskarżył mnie przed całą klasą o zabranie i zjedzenie zająca. Zaprotestowałem i wywiązała się bójka – tłukliśmy się w klasie między ławkami i w trakcie szamotaniny mój przeciwnik wpadł na ławkę i uderzył we zebra. Pojawił się nauczyciel, który wysłał mnie do domu i kazał przyjść następnego dnia razem z matką.

Byłem bardzo rozżalony, bo nie zjadłem tego zająca, choć inni również mnie o to oskarżali. Dyrektor i nauczyciel również podejrzewali mnie o ten niecny czyn, choć protestowałem i płakałem. Matka powiedziała dyrektorowi, że mi wierzy, a jeśli dyrektor nie wierzy, to zabierze mnie ze szkoły. I tak istotnie zrobiła – zostałem w szkole jedynie do końca semestru, do Bożego Narodzenia. W międzyczasie rodzice szukali dla mnie nowej szkoły. Potem już nie padło ani jedno słowo na temat szkoły im. Mikołaja Reja.

*Zdjęcie – ciotka Jadwiga i Janusz w Ogrodzie Saskim, w drodze do domu ze szkoły im. Reja*

27-go grudnia mój ojciec miał imieniny. W Polsce nie obchodzono wówczas urodzin, lecz imieniny, związane z imieniem świętego. Ojciec miał na imię Jan na pamiątkę św. Jana Ewangelisty, matka Zofia i obchodziła imieniny w maju. Ze mną były niewielkie trudności, gdyż nie ma świętego Janusza. Dopiero w 1938 r. matka przypadkowo odkryła w starym luterzańskim kalendarzu świętego Janusza 21 listopada i od tego czasu obchodziliśmy imieniny aż do mojego wyjazdu do Wielkiej Brytanii, kiedy to zacząłem obchodzić swoje urodziny.

Zwykle na imieniny przychodziło na kolację wielu gości, którzy przynosili solenizantowi kwiaty. Nie pamiętam, aby goście przynosili inne prezenty, z wyjątkiem członków najbliższej rodziny.

Po imieninach ojca i niedługo po Nowym Roku matka zabrała mnie do Aleksandrowa Kujawskiego, gdzie zacząłem chodzić do trzeciej klasy w nowej szkole.

Nowa szkoła okazała się wielkim przeżyciem, i to ponurym przeżyciem. Prowadzona według zasad św. Jana Bosco, była to prywatna szkoła w miejscowości niedaleko miejsca urodzenia mojego ojca. Ojciec nie chodził do niej, lecz wiedział, że ma dobrą opinię. Kiedy matka wyjechała, poczułem się bardzo samotny. W szkole obowiązywał reżim, obejmujący każdą niemal godzinę dnia i nie mieliśmy wiele wolnego czasu; może godzinę lub dwie w ciągu doby. W internacie o dziewiątej zśliśmy spać, a wstawaliśmy o siódmej rano lub wcześniej, braliśmy prysznic w dużej wspólnej łazience, a potem zśliśmy na mszę. Po mszy jedliśmy śniadanie w ogromnej stołówce; siedzieliśmy przy długich stołach, na końcu których na niewielkim podwyższeniu siedzieli księża i czytali książki. Około dziewiątej maszerowaliśmy

do szkoły, gdzie przebywaliśmy do około pierwszej po południu, a potem wracaliśmy do internatu.

Szkoła mieściła się w kilku budynkach, a dokoła były tereny sportowe. W szkole jedliśmy obiad i podobnie jak przy śniadaniu, księża czytali klasyczną literaturę. Chłopcy niewiele rozmawiali ze sobą, a jeśli nawet próbowali, to szeptem, bo rozmowy były niedozwolone. Po drugim śniadaniu mieliśmy krótką przerwę, a potem przez około trzy godziny odrabialiśmy prace domowe. Później mogliśmy bawić się, grać w gry sportowe, czy rozmawiać. Kolację jadaliśmy koło siódmej, po której mogliśmy jeszcze słuchać radia, obejrzeć film, lub pisać listy do domu. O dziewiątej po umyciu się, włożeniu piżam i odmówieniu pacierza szliśmy spać. Kiedy przyjechałem do szkoły, była zima i trzymał mróz. Szczególnie zimno było w sypialni na strychu trzykondygnacyjnego budynku. Miałem wtedy osiem lat i zdarzało mi się moczyć do łóżka. Wstawałem w nocy i wędrowałem daleko do ubikacji, mieszczącej się razem z łazienką. Było przenikliwie zimno, szczególnie w nocy. Czasami nie budziłem się i moczyłem do łóżka, co w moim wieku było niedopuszczalne. Byłem nieszczęśliwy, bo ksiądz wyśmiewał mnie z tego powodu, i pisałem rozpaczliwe listy do rodziców. Nie byłem przyzwyczajony – po przebywaniu w ciepłym domu, otoczony troską ciotki i służących – do tego stanu rzeczy. Szokiem dla mnie był reżim i pobyt w takim miejscu. Co gorsza jedzenie nie było smaczne, a wewnątrz budynku panowały zimne przeciągi. Dobrze czułem się tylko wtedy, gdy przychodził list lub paczka z domu. Ojciec, zdając sobie sprawę, jak jestem nieszczęśliwy, poprosił przyjaciela, którego syn był w dziesiątej klasie, aby się mną zajął.

Bardzo lubiłem czekoladki i często dostawałem je w paczkach z domu. Podczas dwudniowego karnawału w szkole jedzenie było nieco smaczniejsze, a czas spędzaliśmy na grach i oglądaniu filmów. Starszy kolega przedstawił mnie swoim przyjaciółom, którzy poczęstowali mnie czekoladkami. Chłopcy zrobili mi okrutny dowcip – rzekome czekoladki były środkiem na przeczyszczenie, a ja byłem zbyt mały, aby dostrzec różnicę.

Zacząłem mieć biegunkę i zanieczyszczałem pościel, gdyż nie zdołałem dobiec w nocy do toalety. Wyśmiewano się ze mnie, przez co czułem się ogromnie nieszczęśliwy. Pisałem listy do rodziców, błagając, aby zabrali mnie ze szkoły. Trwało to bardzo długo, bo starsi koledzy codziennie karmili mnie czekoladkami, za moimi plecami wyśmiewając się z mojego młodego wieku i głupoty. Po trzech czy czterech tygodniach skierowano mnie do lekarza. Lekarz nie znalazł żadnej przyczyny biegunki, a jak na złość starsi koledzy odwiedzali mnie w szpitalu i dalej karmili czekoladkami. W końcu do szkoły przyjechała moja matka.

Wspomniałem jej mimochodem, że starsi koledzy częstują mnie czekoladkami – i sprawa się wydała. Brałem czekoladki na przeczyszczenie przez bity miesiąc i nic dziwnego, że byłem chory. Winni zostali ukarani, a karą w skrajnych przypadkach to były różgi.

Matka została ze mną około tygodnia, a kiedy poczułem się lepiej, zabrała mnie ze sobą do Warszawy. Byłem ogromnie szczęśliwy. Po dwóch tygodniach poszedłem do trzeciej klasy w innej szkole prywatnej, prowadzonej przez Niklewskiego w Warszawie, gdzie uczęszczałem aż do szóstej klasy do wiosny 1939 roku. Kiedy w 1991 roku przyjechałem z Rennie do Aleksandrowa Kujawskiego, pokazałem mu szkołę Salezjanów, gdzie obecnie mieści się publiczna szkoła koedukacyjna.

Gdy wróciłem do domu, ojciec był chory po lekkim zawale serca albo mózgu, a lekarze aplikowali mu pijawki. Po kilku dniach wrócił do pracy. Zanim poszedłem do nowej szkoły, ojciec wynajął korepetytora, z którym przerabiałem program przygotowujący do czwartej klasy.

*Zdjęcie – moje świadectwo z II klasy szkoły im. Mikołaja Reja*

*Zdjęcie – świadectwo z I Komunii. Kiedy moi rodzice wrócili do Warszawy w lutym 1945 roku, aby przeszukać spalone rzeczy i papiery, odkryli, że wszystko zostało rozkradzione. Jednak na podłodze w piwnicy znaleźli te oba świadectwa.*

*Zdjęcie – ciotka Jadwiga w 1939 roku*

*Zdjęcie – moja matka w 1939 roku*

W lecie wyjechaliśmy na wakacje; nie pamiętam miejscowości, ale pamiętam jak łowiliśmy z ojcem ryby nad rzeką i zwykle małe rybki wrzucaliśmy z powrotem do wody. Pamiętam stawy rybne, położone na różnych wysokościach, w których pływały ryby różnej wielkości. Pamiętam również system kanałów łączących stawy. Ci sami pracownicy opiekowali się narybkiem i kanałami łączącymi stawy, oraz łapali raki. Nie pozwalali mi łowić raków, bo nie wiedziałem, jak się z nimi obchodzić.

Kiedy lato skończyło się, wróciliśmy do Warszawy i zacząłem chodzić do szkoły znajdującej się blisko domu. Było to szkoła dla chłopców i mieściło się tam również liceum. Rodzice chcieli, abym od siódmej klasy poszedł do szkoły im. Batorego. Żeby dostać się do Batorego, trzeba było zdać egzamin konkursowy, przy czym na jedno miejsce było dziesięciu kandydatów. Szkoła uważana była na jedną z najbardziej nowoczesnych i postępowych szkół w Europie; w szkole były tereny sportowe oraz basen, unikalny w latach trzydziestych.

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły Niklewskiego, zdałem sobie sprawę, że muszę ciężko pracować, aby dostać się do Batorego. W ciągu trzech lat spędzonych w szkole Niklewskiego stałem się jednym z najlepszych uczniów i uzyskałem wiele nagród. Miałem kilku przyjaciół, kilku wrogów, ale generalnie byłem zadowolony.

Życie domowe szło utartym trybem. Ponieważ bardzo chciałem - jak inni chłopcy w moim wieku - mieć rower, ojciec zabrał mnie do fabryki rowerów, wytwarzanych ręcznie. Wybraliśmy model ze szwedzką przerzutką i drewnianą ramą, co czyniło rower lżejszym niż z metalową.

Nie wolno mi było jeździć na rowerze po ulicy, więc pewnego dnia wybrałem się do parku z jedną ze służących i oczywiście ćwiczyłem jazdę „bez trzymanki”. Nagle pojawiła się dama z wózkiem dzieciennym, więc gwałtownie zahamowałem, przewróciłem się i złamałem lewą rękę. Ojciec zabrał mnie do szpitala, gdzie wsadzili mi rękę w gips. Trzeba pamiętać, że wówczas nie było dobrych środków znieczulających i pacjent po przebudzeniu czuł ogromne mdłości. To samo było ze mną. Po kilku dniach wróciłem do szkoły, a koledzy podpisywali się na gipsie na pamiątkę. Po sześciu tygodniach gips zdjęto, a od tej pory na rowerze jeździłem trzymając rękami kierownicę.

*Dwa zdjęcia – (na tym zdjęciu mam w klapie coś w rodzaju odznaczenia)*

*Te dwa zdjęcia zostały zrobione kiedy chodziłem do szkoły podstawowej im. Niklewskiego w Warszawie, po powrocie ze szkoły ojców Salezjan*

*Zdjęcie – takim właśnie samolotem leciałem nad Warszawą w 1937 roku, z ojcem i jego przyjacielem, pilotem-oblatywaczem*

Mój ojciec pracował w zakładach lotniczych; w tych czasach w Polsce produkowano małe czteroosobowe samoloty zwane RWD, które eksportowano za granicę. Lotnictwo było niebezpiecznym sportem i wielu pilotów straciło życie latając na samolotach. W Polsce powstawały linie lotnicze LOT. W Niemczech, które nie mogły mieć na mocy traktaty wersalskiego własnych sił powietrznych, powstało towarzystwo Lufthansa.

Wczesną wiosną 1927 roku ojciec zabrał mnie na lotnisko Okęcie w pobliżu swojego zakładu, gdzie spotkaliśmy pilota testującego samolot. Pilot zabrał nas do RWD 13 i wystartowaliśmy z trawiastego lotniska. Lataliśmy około pół godziny. Byłem jednocześnie przestraszony i zachwycony, bo lecieliśmy dość nisko – widziałem ulice, budynki i okna, ludzi, konie, taksówki, policjantów, parki, rzekę, mosty, stacje kolejowe i pomniki.

Uderzyło mnie piękno tego lotu, a zaznaczyć trzeba, że w tych czasach nie było żadnych przepisów odnośnie lotów nad miastem. Mogliśmy latać niczym ptaki. Postanowiłem zostać pilotem. Kiedy wróciliśmy do domu, matka była zaniepokojona i powiedziała ojcu, że to było bardzo nierozsądne. Na marginesie dodam, że pilot, który wówczas nas zabrał, zginął rok później jako oblatywacz na innym samolocie. Jak widać, latanie nie było tak bezpieczne jak w dzisiejszych czasach.

W latach trzydziestych w Niemczech do władzy doszedł Hitler i Niemcy zaczęły budować Luftwaffe. Nad Polską zaczęły gromadzić się chmury, lecz niewielu zdawało sobie z tego sprawę. W tym czasie Polska produkowała dwa rodzaje samolotów: bombowce i myśliwce, które mogły konkurować ze sprzętem światowym. Zakład, w którym pracował ojciec, podpisał umowę z Zakładem Produkcji Silników Bristol w Wielkiej Brytanii na produkcję silników do polskich samolotów. Niewiele osób wiedziało, że zintensyfikowano – ze względu na polityczne stosunki z hitlerowskimi Niemcami – produkcję tych samolotów i eksportowano je do Turcji, Rumunii i Jugosławii.

Jak wspominałem, mój ojciec miał wielu przyjaciół. Pewnej zimy, bodajże w listopadzie lub grudniu 1936 roku wybraliśmy się polować na zające i niedźwiedzie. Polska słynęła z takich polowań i dużych grup myśliwych; polowano na niedźwiedzie, jelenie, wilki i inną dziką zwierzynę.

Polowanie organizowano według określonego planu i na każdym obowiązywała swoista etykieta. W polowaniu brali udział wyłącznie mężczyźni, a poza myśliwymi zaangażowani byli również naganiacze, kucharze, ładowacze strzelb i inni zaproszeni panowie. Polowanie zawsze było wydarzeniem socjalnym i wspaniałym sposobem spędzenia czasu w gronie podobnych sobie zapaleńców, i każdy myśliwy z niecierpliwością oczekiwał na zaproszenie. Jako naganiacze w polowaniach brali udział chłopcy, których zadaniem było zagonienie zwierzyny wśród krzyków i hałasu do kręgu myśliwych. Ja sam oczywiście nie brałem udziału w polowaniu, lecz pozostałem w bezpiecznym oddaleniu razem z ojcem. Po dwóch godzinach pokot został zebrany w jednym miejscu i rozdzielony między myśliwych, a potem uraczyliśmy się wspaniałym bigosem, tradycyjną potrawą konsumowaną na polowaniu, czyli kiszoną kapustą z kawałkami wędzonego mięsa i kiełbasy. Bigos gotował się przez kilka godzin w ogromnym kotle, a do niego mężczyźni pili wódkę i inne alkohole.

Trzeba pamiętać, że lata 1938-1939 były dla nas bardzo trudne, gdyż Niemcy zaczęły zbrojenia pomimo postanowień traktatu wersalskiego. Zaalarmowana takimi krokami Polska próbowała wejść w sojusze z aliantami i podpisała układ z Francją, a potem również z Wielką

Brytanią. W Warszawie odbywały się demonstracje popierające politykę rządu i niezależność państwa.

W szóstej klasie, którą rozpocząłem w 1938 roku, wybrano mnie do noszenia sztandaru szkolnego podczas uroczystości i parad, co było zaszczytem dla ucznia. W miarę tego, jak otrzymywałem coraz lepsze oceny, program obejmował więcej przedmiotów: języki, geografii, historię, matematykę i geometrię. Byłem dość dobry z matematyki i geografii, lubiłem historię, lecz geometrię – nieszczególnie. Odrabiałem lekcje domowe, ale też brałem udział w różnych zajęciach sportowych, choć byłem dość nieśmiały i spokojnym chłopcem. Graliśmy w grę tzw. „mamuśkę”. Zasady były następujące: dwie drużyny po – powiedzmy – pięciu zawodników i mamuśka, ustawiały się w przyległych kwadratach, a mamuśki stawały w kwadratach przeciwnika. Zawodnicy pierwszej drużyny starali się przenieść piłkę do swojej mamuśki, uderzając jednocześnie zawodników w ich polu. Każdy zawodnik uderzony przez przeciwnika musiał opuścić pole, o ile nie złapał piłki, w którym to przypadku procedura była odwrotna. Gra kończyła się w momencie wyeliminowania zawodników z przeciwnej drużyny, przy czym mamuśka mogła być uderzona trzykrotnie przed opuszczeniem pola. Graliśmy w różne inne gry, ćwiczyliśmy na boisku przyległym do głównego budynku szkoły. Zimą mieliśmy zajęcia na sali gimnastycznej.

Moi rodzice przyjaźnili się z państwem Boye, którzy mieli syna Jerzego, około piętnaście lat starszego ode mnie, który studiował w Akademii Polskich Sił Powietrznych i został oficerem w szwadronie myśliwców. Jerzy miał narzeczoną, która mieszkała we Lwowie, mieście na południowym wschodzie Polski, obecnie należącym do Ukrainy. Nasze rodziny były bardzo blisko związane ze sobą, razem świętowaliśmy Boże Narodzenie, my chłopcy spędzaliśmy wspólnie czas i bardzo się lubiliśmy. Podziwiałem Jerzego - w mundurze lotnika wyglądał wręcz imponująco i pięknie.

*Zdjęcie – w samolocie tego typu Jurek Boye stracił życie*

Wydarzyło się to bodajże w 1938 roku. Nie pamiętam dokładnie, czy Jerzy leciał ze Lwowa do swojej jednostki, czy do Warszawy. Być może zmienił plany i postanowił rzucić narzeczonej z samolotu bukiet róż? W każdym razie zawiadomił dziewczynę, że przeleci nad jej domem, wyrzucił bukiet kwiatów i zaczął wykonywać figury akrobatyczne z nadzieją, że narzeczonej i wszyscy zobaczą, jakim wspaniałym jest pilotem. Podczas jednego z manewrów samolot runął na ziemię. Stało się to na oczach narzeczonej i jej rodziców.

Była to straszna i niepowetowana strata dla nas wszystkich. Zszokowani rodzice żyli jak w letargu. Ojciec sam zajął się pogrzebem, a ponieważ Jerzy był oficerem, został pochowany z wszelkimi honorami na cmentarzu wojskowym w Warszawie. Kiedy przyjechałem z Rennie do Warszawy w 1991 roku, poszliśmy na cmentarz, gdyż pochowani tam byli moi koledzy z Powstania Warszawskiego i szukaliśmy grobu Jerzego – niestety bez skutku.

*Zdjęcie – powyżej: dwuosobowy niszczyciel – Karaś*

*Poniżej: bombowiec ciężki – Łoś*

*Zdjęcie – samoloty wojskowe produkowane w PZL, gdzie pracował mój ojciec. Swoiste dzieło sztuki w 1939 roku. Niewiele z nich weszło do Armii Polskiej przed wybuchem wojny we wrześniu*

Między rokiem 1935 a 1939 Niemcy zaczęły w szybkim tempie tworzyć swoje siły powietrzne. Polska również nie pozostawała w tyle, choć jej produkcja była na mniejszą skalę; mieliśmy bombowce i myśliwce, a zakłady lotnicze pracowały dzień i noc. Niemniej, jak wspominałem wcześniej, produkcja szła eksport, głównie do Turcji i Rumunii.

Patrząc na to z perspektywy sądzić możnaby, że taka polityka nie była zbyt rozsądna, lecz z drugiej strony sprzedaż na rynku krajowym niewiele zmieniłaby historię; nawet jeśli Polska miałaby silniejsze siły powietrzne, Niemcy – i również Rosja, która zaatakowała Polskę - byli potężniejsi. Pomimo poświęceń i przelewu krwi Polska nie mogłaby odeprzeć wroga.

Z tamtych czasów pamiętam pewne wydarzenia, które nawet dziś trudno mi w pełni wyjaśnić. Mój ojciec otrzymał pewnego razu ogromną drewnianą skrzynię, pełną deserowego wina francuskiego Chateau Yquem. Dlaczego? Co z nim zrobił? Innym razem ojciec wszedł do interesu razem z niejakim panem Czerskim. Czerski miał fabrykę obuwia, w której mój ojciec miał udziały, oraz sieć sklepów w Warszawie, podobnych do sklepów Bata. Pewnej nocy fabryka spłonęła doszczętnie, a ponieważ nie była ubezpieczona, mój ojciec stracił wszystko. Zdołał się utrzymać jedynie dzięki dobrze płatnej pracy z Zakładach Lotniczych. Nie cierpieliśmy biedy, lecz gdyby nie pożar, moglibyśmy żyć luksusowo.

Zawsze zastanawiałem się, dlaczego nie znam szczegółów postępowania mojego ojca. Dlaczego? Jak mówiłem, życie ojca otoczone było dla mnie mgiełką tajemnicy. Wiem, że ojciec miał siostrę, która również miała syna oraz córkę. Cała rodzina zmarła z głodu na przełomie lat 20-tych i 30-tych. Mam ich zdjęcia, ale nie wiem, gdzie się urodzili ani gdzie są pochowani.

Rodzina mojej matki była bardzo liczna; matka miała trzy siostry. Najstarsza Adela wyszła za mąż za aktora i miała syna Wacława, starszego ode mnie o 20 czy 25 lat. Potem była moja matka i Janka, piękna kobieta, która miała romans z żonatym mężczyzną i z rozpaczy nie wyszła za mąż. Moja matka i Janka nigdy nie mogły się ze sobą zgodzić - pamiętam ich ciągle kłótnie.

Jadwiga była najmłodszą z sióstr Mamy Mieszkała za nami i opiekowała się mną, kiedy byłem mały. Wyszła za mąż tuż przed wojną za jubilera i mieszkali oboje na południu Warszawy.

Matka miała również trzech braci – Bolesław zmarł młodo, najmłodszy Lucek był elektrykiem i ojciec załatwił mu pracę w Zakładach Lotniczych. Czesiek był maszynistą w pociągach międzynarodowych.

Rok przed wybuchem wojny zdałem do szóstej klasy. Wtedy wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później Niemcy zaatakują Polskę. Mieliśmy nadzieję, że wcześniej podpisane porozumienie z Francją i Wielką Brytanią uchroni nas przed atakiem. W szkołach odbywały się wyprzedaże i zbiórki na rzecz armii polskiej. W naszej szkole dzieci również zbierały pieniądze na zakup czterystu rowerów dla polskich żołnierzy. Jednocześnie propaganda malowała optymistyczny obraz rzeczywistości – nie musimy się niczego obawiać, bo są z nami największe mocarstwa Europy, Anglia i Francja. Pomimo umowy w Monachium, na mocy której Niemcy mieli zadowolić się jedynie Sudetami, na początku 1939 roku wkroczyli do Czechosłowacji, a potem rozpoczęli oszczerczą kampanię przeciwko Polsce, rozsiewając pomówienia, że Polska dyskryminuje mniejszości niemieckie i aby temu zapobiec, należy przejąć kontrolę nad tzw. korytarzem, oddzielającym Niemcy od Prus Wschodnich. Polska gotowa była bronić swojego terytorium, należącym do niej od tysiąca lat i stanowiącym okno na Bałtyk. Miała również wspaniałych sprzymierzeńców.

*Zdjęcie – budynek szkoły im. Batorego na ulicy Myśliwieckiej*

## **Kres dzieciństwa i początek brutalnej rzeczywistości**

Ostatnie przedwojenne wakacje były cudowne. Dałem właśnie egzaminy do prestiżowego liceum im. Batorego i zostałem przyjęty do siódmej klasy. Pamiętam to wspaniałe uczucie dumy, że jestem bystry i udało mi się dostać do takiej dobrej szkoły.

Kolejnym pamiętnym osiągnięciem było to, że nauczyłem się pływać w głębokiej wodzie. Wyjechaliśmy na wakacje nad Wartę, która ma swoje źródła koło Częstochowy, gdzie w klasztorze Paulinów znajduje się obraz Czarnej Madonny. Miejsce to słynie z wielu cudów; w XVII wieku w Częstochowie zatrzymano tzw. potop szwedzki – Szwedzi, którzy najechali na Polskę, zostali zmuszeni do odwrotu. Od tego czasu Czarna Madonna, jako Królowa Polski, opiekuje się krajem w niebezpiecznych i trudnych momentach.

Rzeka była czysta i pełna ryb. Niektóre drzewa, jak wieść niosła, sadził sam Jan III Sobieski, który zatrzymał się tutaj w drodze powrotnej z Wiednia, gdzie pobił Turków w 1683 roku. Pogoda latem 1939 roku była wspaniała, wspaniała dla dwunastoletniego chłopca pełnego energii i ciekawości. Czas spędzałem pływając i łowiąc ryby w Warcie, a pływać nauczyłem mnie w sposób dość barbarzyński. Po prostu koledzy wyrzucili mnie na głęboką wodę, co w moim przypadku okazało się bardzo skuteczne.

### *3 zdjęcia – widoki polskiej wsi*

W okolicy znajdowały się stajnie koni arabskich, które później odwiedziliśmy razem z Rennie w 1991 roku. Tamtego lata uwielbiałem chodzić do stajni i oglądać te piękne zwierzęta.

W tym czasie przyjaźniłem się z Romanem Stankiewiczem, który miał młodszą siostrę, a jego ojciec grał w orkiestrze symfonicznej. W szkole obaj mieliśmy tak zwane książeczki oszczędnościowe, w których zbieraliśmy kupony nabywane za nasze kieszonkowe, a pod koniec szkoły wymienialiśmy kupony z powrotem na pieniądze. Przez lata moje oszczędności wyniosły około piętnastu złotych, co wówczas równało się około trzem dolarom. Dla kogoś w moim wieku to była ogromna suma, zważywszy, że bilet do kina kosztował 10 centów, a batonik 4 centy. To były moje pieniądze i mogłem z nimi robić, co tylko chciałem. Wtedy chciałem mieć porządną latarkę – i taką kupiłem za około 50 centów, a resztę wydałem na bilety do kina z Romanem. Widzieliśmy film propagandowy o linii Maginota, widzieliśmy również film „Ona jedna i ich stu” z Deanną Durbin.

I tak zbliżamy się do sierpnia 1939 roku. Pogoda nadal jest piękna, obaj z Romanem jesteśmy szczęśliwi, mamy swoje oszczędności i żadnych zmartwień. Sytuacja polityczna staje się jednak coraz gorsza, chodzą słuchy o grupach niemieckich mobilizujących siły na zachodniej granicy. Rząd polski nie mobilizuje wojska, by nie prowokować Niemców.

Choć w Polsce nie było mobilizacji, akcje dyplomatyczne ze strony aliantów zmierzających do zażegnania kryzysu w sprawie „korytarza” szły pełną parą. Wtedy już nikt nie ufał Hitlerowi, nawet premier Wielkiej Brytanii, który oddał niepodległość Czechosłowacji w

zamian za spokój ze strony Niemców. Ojciec pracował do późnych godzin i chodziły słuchy, że część personelu zostanie przeniesiona do Wielkiej Brytanii w przypadku ataku Niemców na Polskę.

Większość ludzi była w nastroju optymistycznym i nikt nie sądził, że Hitler może zaatakować Polskę, która ma dwóch potężnych sprzymierzeńców. W połowie sierpnia Joachim von Ribbentrop, niemiecki minister spraw zagranicznych, pojechał do Moskwy, co utwierdziło nas w przekonaniu, że Rosja pozostanie neutralna w przypadku ataku Niemiec na Polskę. Wówczas nic nie wiedzieliśmy o tajnych planach Niemiec i Rosji podzielenia Polski między sobą; w przeciwnym razie historia zapewne potoczyłaby się w zupełnie innym kierunku.

Były to ostatnie spokojne dni przed zawieruchą II wojny światowej. Natura rozkwitała w letniej krasie, jakby nic nie zapowiadało, że niedługo świat nie będzie już taki sam. Nikt nie zdawał sobie sprawy z implikacji, jakie mogłaby przynieść wojna. Moja matka z innymi zapobiegliwymi gospodyniami zajęta była przygotowywaniem przetworów na zimę: dżemów, kompotów, wędzonego mięsa i innych produktów, które można było przechować w spiżarni bez obawy, że się popsują.

Pamiętam, że wówczas Warszawa była dla mnie miastem przepięknym. Może nie tak pięknym jak Paryż, lecz było tutaj wiele budynków i parków w paryskim stylu, które mnie zachwyciły. Teraz wspominam je z nostalgią, gdyż większość została zniszczona podczas wojny, a całe miasto straciło swój przedwojenny charakter.

Przedwojenne domy, ocalałe z pożogi wojennej, znajdowały się w rejonie ambasad i zostały zniszczone w bardzo niewielkim stopniu. Po wojnie dominującym stylem stał się styl „rokoko Stalina”, który uczynił Warszawę jednym a najbrzydszych miast.

W sierpniu 1939 roku odkryłem, że to nie bocian przynosi dzieci - dowiedziałem się tego od przyjaciela, który miał młodszą siostrę i powiedział mi, że dziewczynki nie mają penisa.

W ostatnich dniach sierpnia ojca widywałem dopiero późnym wieczorem, o 8.00 lub 9.00. Czas spędzałem na zabawach z kolegami i wydawaniu swojego kieszonkowego.

Pierwszego września 1939 roku rozpoczęła się inwazja na Polskę.

*Zdjęcie – Plac Zamkowy*

*Zdjęcie – pomnik Chrystusa, front kościoła Świętego Krzyża*

*Zdjęcie – pomnik Chopina*

*Zdjęcie – ogród Botaniczny*

*Warszawa w 1939 roku*

## Atak Nazistów i Rosjan na Polskę

Rankiem pierwszego września wybrałem się z Romanem na spacer do śródmieścia, gdy nagle zaskoczył nas nalot. Na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej stały dwa działa przeciwlotnicze. Nagle na słonecznym niebie ujrzeliśmy spadające bomby; na szczęście żadna z nich nie upadła koło nas. Polacy odpowiadali ogniem z dział i broni maszynowej. Walka trwała około kwadransa i niebo znów było czyste. Wróciłem do domu koło pierwszej w południe, a zaraz potem nadszedł ojciec. Powiedział, że zakłady zostały zniszczone, a jedna z bomb uderzyła w jego biuro.

Dyrekcja zajęła się ocenianiem szkód, a pracownikom powiedziano, aby przyszli następnego dnia, gdyż planowano przenieść ocalałą produkcję do zakładu w Rzeszowie, zbudowanego w 1937 roku. Rejon rzeszowski miał stać się drugim centrum przemysłowym, ponieważ rząd polski ze względów strategicznych planował zbudowanie podobnych zakładów przemysłu lotniczego w innym miejscu, poza zakładami zlokalizowanymi w okolicach lotniska na Okęciu w Warszawie.

*Zdjęcie – statek wojenny „Schleswig Holstein” bombarduje polski garnizon na Westerplatte, 1 września 1939 roku*

W zakładzie ojciec miał niewiele do zrobienia, gdyż większość uległa zniszczeniu i nie nadawała się do odbudowy. Słuchaliśmy radia, przez które informowano, że choć Niemcy zaatakowali z trzech stron, armia polska trzyma się dzielnie i nie mamy żadnych strat, a do tego siły powietrzne zbombardowały Berlin. Trzeciego września Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę. Ta wiadomość spowodowała ogromną radość i euforię społeczeństwa, które demonstrowało przed ambasadami obu krajów. Wierzyliśmy, że wszystko dobrze się skończy.

Pewnego dnia ojciec otrzymał sześciomiesięczną odprawę, co oznaczało pewne zmiany, których nie mogliśmy właściwie zinterpretować. Jak wspomniałem, ojciec spodziewał się przeniesienia do Rzeszowa lub do Anglii, aby kontynuować produkcję samolotów dla aliantów. Polskie Radio nadawało wiadomości o Westerplatte, gdzie niewielki garnizon dzielnie odpierał atak Niemców. Z drugiej strony radio niemieckie podawało zupełnie inne komunikaty – odrzucaliśmy to oczywiście jako propagandę. Tak więc do około piętnastego września nie mieliśmy pojęcia, jaka naprawdę była sytuacja na froncie zachodnim. Podawano

również komunikaty o aktywności aliantów, którzy gromadzili siły do walki przeciwko Niemcom. Z drugiej strony, pracownicy ambasad szykowali się do ewakuacji; podobnie mieszkańcy Warszawy musieli zdecydować, czy pozostać w stolicy czy przenieść się na wschód.

Rodzice wahali się, lecz w końcu zdecydowali się pozostać w mieście, w którym mieli tylu znajomych i przyjaciół, a do tego optymistycznie zakładali, iż wojna nie potrwa długo. Jakże niewiele wiedzieli o stratach, jakie przyjdzie im ponieść, o bólu psychicznym i fizycznym.

W połowie września okazało się, że Niemcy zbliżają się do Warszawy, a polskie wojska dokonują przegrupowań nad Bzurą, w niedalekiej odległości od stolicy. Potem usłyszeliśmy sprzeczne wiadomości, że 17 czy 18 września Armia Radziecka wkroczyła do Polski aby pomóc Polakom pokonać Niemców. Sytuacja była niejasna i nie znaliśmy szczegółów całej operacji. Około 20 września Niemcy rozpoczęli okrążenie Warszawy, z tym, że wschodnie rejony miasta od strony Pragi były w dalszym ciągu otwarte. Wiele osób zaczęło wyjeżdżać z Warszawy pociągami, a kilku znajomych ojca wyjechało w ten sposób do Rumunii. Jednak matka kategorycznie odmawiała opuszczenia stolicy.

*Zdjęcie – zniszczone budynki wokół Placu Zamkowego – wrzesień 1939 roku*

Sytuacja zaczęła się pogarszać; ciągłe naloty w dzień, przebywanie w schronach z wyjątkiem godzin nocnych, pożary budynków. Rodzice zdecydowali się przenieść do innego mieszkania w dzielnicy, gdzie naloty nie zdarzały się tak często. Mieszkanie znajdowało się na ulicy Foksal, w pobliżu Wisły, w otoczeniu eleganckich apartamentowców. Po dwóch tygodniach zostaliśmy odcięci od reszty świata. Byliśmy samotni. Co się działo z Anglią i Francją? Czy wojska aliantów wkroczyły do Niemiec, jak mówiło się tydzień wcześniej? Co się stało z Armią Czerwoną? Ludzie przestali wierzyć komunikatom radiowym.

*Zdjęcie – Warszawa – wrzesień 1939 roku*

W końcu zabrakło wody do gaszenia pożarów i wiele domów doszczętnie spłonęło. Zaczęło też brakować żywności, a resztki, jakie znajdowały się w sklepach, szybko zniknęły. Nasze skromne zapasy zaczęły się kurczyć w zastraszającym tempie. Podczas nalotów ginęło wiele koni i ludzie zaczęli jeść końskie mięso.

Władze stolicy opuściły miasto przed oblężeniem i pozostał jedynie burmistrz i generał sił zbrojnych. Polskie Radio wciąż wzywało do obrony Warszawy, a my nie mogliśmy pojąć, dlaczego armia polska nie może pokonać Niemców.

Nasze położenie i inwazja radziecka wydawały się czymś niemożliwym do przyjęcia, szczególnie gdy dowiedzieliśmy się, że wojska radzieckie rozbrajają polską armię. Zdaliśmy sobie sprawę, że Rosjanie nie są naszymi przyjaciółmi i że Polska została podzielona między Niemcy i Związek Radziecki. Tak czy inaczej nie mielibyśmy szans na zwycięstwo przy milczeniu Anglii i Francji. Czuliśmy się osamotnieni, pozbawieni przyjaciół, a nasza przyszłość wyglądała czarno.

### **Początki niemieckiej okupacji**

Wybrałem się za spacer po zniszczonym mieście. Poszedłem w kierunku kompletnie zniszczonego dworca kolejowego i na ulicę Złotą, pełną zniszczonego sprzętu wojskowego. Wiele domów jeszcze płonęło, w kilku miejscach zgliszcza już dogasały, a na ulicach było niewielu ludzi. Dostrzegłem garstkę osób koło dworca kolejowego – wycinali mięso z padłych koni. Wokół wszędzie rozrzucona była broń, wyrzutnie granatów, amunicja, zniszczone kuchnie polowe. Na ulicy widziałem żołnierzy polskich eskortowanych przez Niemców prawdopodobnie do miejsc, skąd mieli być wywożeni do obozów. Wtedy widziałem Niemców w mundurach po raz pierwszy. Polacy mieli mundury w kolorze khaki, natomiast mundury Niemców były szare, co wydawało mi się dość dziwne.

W tym dniu Niemcy formalnie wkroczyli do Warszawy, więc reporterzy robili zdjęcia dla gazet niemieckich. W pewnym momencie zobaczyłem osiem lub dziesięć motocykli i ciężarówkę. Wystraszyłem się, bo cały konwój zatrzymał się jakieś sto metrów ode mnie. Nagle żołnierz niemiecki w hełmie i szarym płaszczu gumowym skinął na mnie. Ze strachu nie wiedziałem, co zrobić. Podeszedłem powoli, a on otworzył skórzaną torbę i wyjął pakunek zawinięty w pergamin. W środku była kawałek czarnego chleba i ser. Chciałem mu to oddać, bo nie byłem głodny, ale nie zgodził się, więc wziąłem jedzenie i poszedłem do domu. Potem dowiedziałem się, że Niemcy kręcili filmy propagandowe, żeby pokazać swoją hojność dla głodnych polskich dzieci.

Nie wiem, czy to była prawda. Dla mnie ten żołnierz wyglądał jak ktoś, komu zrobiło się żal małego polskiego chłopca. Miałem wtedy dwanaście lat i może wyglądałem na

wygodzonego. Trzeba pamiętać, że żołnierze niemieccy z pierwszej linii frontowej – a takim był ten żołnierz – byli bardziej ludzcy dla wrogów niż SS, które pojawiło się później.

*Zdjęcie – wojsko niemieckie wkracza do Warszawy – wrzesień 1939 rok*

Kiedy ustała strzelanina, najważniejszym problemem stało się zdobycie żywności. Mieliśmy jeszcze pieniądze, ale było wiadomo, że ojciec nie wróci do zakładów, bo byliśmy już pod okupacją i nie istniało polskie wojsko. Ojciec musiał znaleźć inne źródło przychodów. Inni też zaczęli wieść nowe życie w okupowanym i zniszczonym mieście.

Jakimś cudem zdobywaliśmy końskie mięso i chleb. Po kilku dniach Niemcy wydali komunikat, że następnego dnia wszyscy Polacy muszą siedzieć w domu, w przeciwnym razie zostaną zastrzeleni bez ostrzeżenia. Potem okazało się, że do zdobytej Warszawy przyjechał Adolf Hitler odebrać wojskową paradę w Alejach Ujazdowskich, organizowaną na cześć zwycięstwa nad Polską.

Potem mogliśmy wyjść z domu i znów zaczęło się poszukiwanie żywności. Wiedzieliśmy, że gdzieś są zapasy cukru, kaszy, mąki i papierosów, ale nikt nie wiedział gdzie. Brakowało nabiału, mięsa, owoców i warzyw. Wieści o żywności rozchodziły się z ust do ust, ludzie wędrowali po różnych magazynach i czasem komuś udawało się coś zdobyć do jedzenia, zanim pojawili się inni. Jeszcze nie cierpieliśmy głodu, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że taka sytuacja nie potrwa wiecznie i pewnego dnia będziemy musieli znaleźć i zabezpieczyć nowe źródła jedzenia.

Zwykle w takiej chwili zwracano się do rolników, zaopatrujących miasto w żywność, ale wtedy nie było wiadomo, jak Niemcy potraktują ludność miejską i wiejską. W tydzień po wkroczeniu oddziałów niemieckich od Warszawy zaczęto tworzyć swego rodzaju władze cywilne. Bohaterski prezydent, Stanisław Starzyński, który nawoływał ludność stolicy do oporu podczas oblężenia miasta, po aresztowaniu zniknął. Nie wiedzieliśmy, że wysłano go do obozu koncentracyjnego, gdzie został stracony w ciągu kilku dni.

*Zdjęcie – zwycięska parada Hitlera w Warszawie – październik 1939 roku*

Na początku Niemcy utrzymywali jądro administracji, jak policja, straż pożarna i urząd miejski, gdyż do urzędów usługowych należało sprzątnięcie ulic. W tym czasie na słupach ogłoszeniowych pojawiły się plakaty, z których pamiętam szczególnie dwa: jeden przedstawiający rannego polskiego żołnierza, pokazującego na dymiące ruiny Warszawy i

mówi „Anglio, to twoje dzieło”; na drugim widniał gruby chciwy Żyd z cygarem w dłoni i elegancko ubrany urzędnik z Wall Street, siedzący przy stole i liczący pieniądze zakrwawionymi palcami. Podpis: Plurokraci. Taka była niemiecka propaganda.

Rząd polski, niektórzy parlamentarzyści, niedobitki polskiej armii, cała polska marynarka wojenna i kilka jednostek, którym udało się przebić do neutralnych Węgier lub do Rumunii – wyjechali do Francji, gdzie general Sikorski jako premier formował nowy rząd. Prezydent Polski, dr Ignacy Mościcki, zrezygnował z funkcji i przekazał władzę Raczyńskiemu, który został prezydentem Polski na wygnaniu.

W okupowanej Polsce Niemcy wyłapywali polskich oficerów, którzy później stanowili trzon podziemnego oporu. W połowie października Gestapo - nazistowska policja polityczna – weszło do Warszawy i rozpoczęły się aresztowania ludności cywilnej. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób Gestapo uzyskiwało informacje o pewnych ludziach, którzy przed wojną wyrażali się negatywnie o Hitlerze, krytykowali Nazistów lub brali udział w akcjach antyniemieckich. Szybko okazało się, że Niemcy mieli swoich informatorów jeszcze sprzed wojny. Po ataku Hitlera na Polskę wielu Niemców zostało w kraju i nikomu nie śniło się, aby ich w jakikolwiek sposób gnębić. Przyjaciółka mojej matki, pani Pijanowska, miała lokatora Niemca przez dwa lata do wybuchu wojny, który nawet sympatyzował z jej córką. Młody Niemiec okazał się być wysokiej rangi urzędnikiem w mundurze SS. Pani Pijanowska nie była represjonowana, ale wiedzieliśmy już, że trzeba uważać co i do kogo mówimy.

Wielu Polaków pochodzenia niemieckiego – choć nie znając niemieckiego - nagle zadeklarowało przynależność do Niemiec jako tak zwani volksdeutsche i ci właśnie stawali się informatorami Gestapo. Potem, kiedy zintensyfikowano nagonkę na Żydów, volksdeutsche cechowali się nawet większym okrucieństwem niż Niemcy.

Na przełomie października i listopada utworzono swego rodzaju władze cywilne, administrowane przez Nazistów sprowadzonych z Niemiec. Dodatkowo Gestapo prowadziło niezależnie swoją działalność, przy czym miało wolną rękę w aresztowaniu Polaków. Celem takiej polityki było całkowite wyeliminowanie populacji, sprowadzenie Polaków do roli niewolników oraz oczyszczenie krwi niemieckiej przez zakazanie małżeństw między „aryjczykami” i ‘nie-aryjczykami”.

Choć jeszcze nic konkretnego nie działo się w sprawie ludności pochodzenia żydowskiego, rozchodziły się plotki o tym, że ma powstać getto, gdzie Żydzi będą odseparowani od Polaków. Żołnierze Wehrmachtu z pierwszej linii frontu opuścili Warszawę, a na ich miejsce przybyło Gestapo i SS – rozpoczął się kolejny etap nieludzkiej i okrutnej okupacji Polski, o

niespotykanej dotąd brutalności w jakikolwiek cywilizowanym lub niecywilizowanym społeczeństwie.

### **Terror nazistowski w okupowanej Polsce**

Dlaczego niemieccy wojskowi, SS czy Gestapo nosili czapki z insygniami czaszki i pischeli? Mój dwunastoletni umysł nie był tego w stanie pojąć; takie symbole kojarzyły się od dawien dawna ze śmiercią i chorągwiami na masztach statków pirackich. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób armia mogłaby kojarzyć się z takim bezprawiem. Z drugiej strony, jeśli popatrzymy na to retrospektywnie, widzimy, że był to jak najbardziej odpowiedni symbol Nazistów, którzy popełnili straszliwe zbrodnie na milionach niewinnych ludzi w okupowanej Europie.

W końcu października 1939 roku wprowadzono w Polsce godzinę policyjną. Nikomu nie wolno było przebywać na ulicy od godziny 8 wieczorem do 6 rano, z wyjątkiem Niemców i polskiej policji. Innym koszmarem, który stał się codziennością, były stałe braki w dostawach żywności, która była bardzo droga. Rozkwitał czarny rynek, ze wsi do stolicy szmuglowano jedzenie, głównie mięso (tak zwaną rąbankę, czyli kawałki tuszy krojone bez podziału na odpowiednie części) i wędliny.

Jak wspominałem wcześniej, zdobycie żywności stało się nie lada wyczynem. Mieliśmy na to dwa sposoby: sprzedaż czegokolwiek i kupienie za to jedzenia, lub znalezienie pracy dającej odpowiednią pensję. Mój ojciec zaraz po ustaniu bombardowań wpadł na wspianiały pomysł - zdecydował się zarabiać na życie jako szklarz. Popyt na szklenie okien był ogromny, gdyż wiele szyb było zniszczonych przez bombardowania i pożary, a poza tym szła zima i każdy starał się jakoś zabezpieczyć przed chłodem wstawiając szyby lub dyktę, oraz mając na względzie również wysokie ceny węgla do opalania pomieszczeń oraz jego niewielką dostępność. Ze względu na wysoką cenę szkła, ludzie zwykle zamawiali szklenie jednego okna, a w pozostałe wstawiali dyktę. Początkowo pomagałem ojcu, ale potem interes zaczął iść tak dobrze, że ojciec zatrudnił pełnoetatowego pomocnika. Został nim mój wuj Lucek.

Ojcu udało się zabezpieczyć źródło dostaw szkła i w następnych miesiącach intensywnie zastępował dyktę w oknach klientów szybami. W naszym mieszkaniu praktycznie wszystkie okna miały szyby, więc w środku było jasno, a do tego ciepło. W końcu listopada spadł pierwszy śnieg.

Nieco wcześniej, w końcu października, otwarto szkołę im. Batorego i zacząłem do niej uczęszczać; niestety po dwóch czy trzech tygodniach władze niemieckie zdecydowały przejąć szkołę, co było dla nas i wykładowców niemałym szokiem. Trzeba było temu zaradzić.

Dyrektorowi szkoły, dr Radwańskiemu, udało się znaleźć zatrudnienie w miejskim ratuszu na stanowisku dyrektora departamentu do spraw szkolnictwa. Nowym nazistowskim gubernatorem w okupowanej Polsce został Hans Frank, były prawnik, znany ze swej lojalności względem Hitlera i partii nazistowskiej. Frank sprowadził z Niemiec wielką grupę nazistów wraz z rodzinami, a ponieważ ich dzieci były w wieku szkolnym, Niemcy zarekwirowali na swoje potrzeby szkolny budynek, zlokalizowany w najlepszej części miasta, która mogła być ewentualnie odizolowana od innych dzielnic.

*Zdjęcie – Mieczysław Radwański, dyrektor szkoły im. Batorego i „kompletów” podczas okupacji niemieckiej w latach 1939-1945*

W tym czasie Niemcy ogłosili podział Polski na dwie części, zgodnie z umową niemiecko-rosyjską. Na zachodzie tak zwana Generalna Gubernia z głównym miastem Poznaniem, zwanym przez Niemców Posen, oraz część północna między zachodem a Prusami Wschodnimi, zwana przez Hitlera „polskim korytarzem”, miały być włączone na stałe do Niemiec czyli Reichu, a miejscowa ludność skazana na wegetowanie jako niewolnicy i wyrobnicy dla rasy panów.

Podczas gdy Niemcy włączali zachodnie rejony Polski do Reichu, w tym samym czasie wysiedlali ludność z tych terenów do Generalnej Guberni.

Wychowanie pokolenia niewolników wymagało od Niemców pewnej pracy – władze zabroniły Polakom wszelkiej średniej i wyższej edukacji. Wszyscy profesorowie i wykładowcy uniwersyteccy, którym nie udało ukryć się w tak zwanym podziemiu, zostali wysłani do obozów koncentracyjnych, skąd już nie wracali. Dr Radwański, o którym wspominałem, starał się otworzyć w miejsce zamkniętych liceów i gimnazjów szkoły zawodowe, które miały kształcić młodych ludzi w rzemiosłach tak potrzebnych nazistowskim panom. Na marginesie powiem, że lekarze polscy mogli praktykować na Polakach, lecz nie na Niemcach ze względu na niższość rasową tych pierwszych.

To interesujący punkt w filozofii nazistowskiej. Dlaczego Niemcy pozwolili na kształcenie lekarzy i pielęgniarek polskich? A ponieważ lekarze niemieccy nie mogli dotknąć Polaków, to czy mieliśmy być leczeni przez niemieckich weterynarzy? Nie mam pojęcia. Polacy nie mogli pracować jako biznesmeni, inżynierowie, architekci, ekonomiści czy nauczyciele. Z

mojego punktu widzenia szkoła zawodowa była dobrym posunięciem. Dr Radwański, który opracował program edukacyjny dla rasy panów, przygotował również tajny program nauczania w szkołach zawodowych takich jak moja, abyśmy po zakończeniu wojny mogli studiować za granicą.

Tajne nauczanie było wielkim ruchem oporu Polaków i wiele osób wkładało w tę sprawę sporo serca. W warszawskim ratuszu prace przygotowawcze szły pełną parą; otwarto szereg szkół zawodowych, w których pracowali byli wykładowcy. Ponieważ uczniowie pochodzili z rodzin nastawionych opozycyjnie do Niemców, nie chcieli uczyć się zawodu, lecz takich przedmiotów jak fizyka, matematyka, chemia, łacina, historia, literatura polska. Trzeba było stworzyć odpowiedni program, który formalnie w sposób legalny obejmowałby te zabronione przedmioty.

W ten sposób uczniowie studiowali matematykę i geometrię na metaloznawstwie, a chemię i fizykę na wykładach z obróbki metali na gorąco. Geografii uczono na wykładach o pochodzeniu różnych minerałów, włącznie z geografią polityczną. Aby uwiarygodnić nauczanie przed szkolnymi inspektorami, uczniowie mieli również praktyki, czyli tworzenie czegoś z niczego. Ja miałem wykonać zamek żelazny ze złomu, a pozostali uczniowie jakieś inne przedmioty. Moja szkoła mieściła się na Miodowej, a praktyki mieliśmy na Bródnie, dzielnicy oddalonej od Śródmieścia, a każdy uczeń był wyposażony w kartę identyfikacyjną, tak zwaną kennkarte.

Przedmioty takie jak historia Polski, literatura, łacina nie mogły być wykładane w szkole pod przykrywką przedmiotów zawodowych, więc uczęszczaliśmy na tajne lekcje w domach prywatnych dwa lub trzy razy w tygodniu. Było to nielegalne i trzeba było uważać, aby nie wysłedzili nas Niemcy czy Volksdeutsche, Polacy niemieckiego pochodzenia. Wypracowaliśmy cały system ochronny, mający na celu ukrycie naszych lekcji przed wrogiem.

Przez pełne cztery lata chodziłem na tajne komplety. Opinia publiczna była nastawiona przeciwko szpiegom i informatorom, a wielu z nich zostało wyeliminowanych przez podziemie po polowym procesie.

Tak więc nasze życie miało dwa oblicza: fizycznie i militarnie kontrolowane przez Niemców, polskie społeczeństwo prowadziło codzienne życie ucząc dzieci, zbierając informacje o działalności Nazistów i kultywując kulturę polską w domach.

Terror niemiecki w listopadzie i grudniu 1939 roku był skierowany przeciwko Polakom. W końcu grudnia Niemcy ogłosili, że w Warszawie powstanie getto, do którego w ciągu kilku miesięcy będzie przeniesiona społeczność żydowska. Żydzi i większość chrześcijan przyjęła

te wieści bardzo źle, bo chociaż niektórzy krótkowzroczni Polacy mogli korzystać z pozostawionego mienia żydowskiego, sklepów czy domów, to w najbliższym gronie bardzo przeżywaliliśmy perspektywę rozstania z naszymi przyjaciółmi.

Tak więc w listopadzie i grudniu ojciec był zajęty szkleniem okien, ja chodziłem do siódmej klasy dwa razy w tygodniu oraz na praktyki. Często chodziłem pieszo i pewnego razu z przyjacielem ujrzeliśmy na ulicy drewniane szubienice i wiszące na nich ciała. Wtedy po raz pierwszy widziałem powieszonych ludzi; pamiętam, że nie mieli butów i ta scena pozostaje niezmiernie żywa w mojej pamięci. Nie wiem, dlaczego zostali powieszoni, kto to zrobił i kim byli ci ludzie. Spytałem o to nauczyciela, ale ten poszarzał na twarzy i zabronił mi wspominać o tym. Najwyraźniej bał się o tym mówić. Moi rodzice również nie chcieli rozmawiać na ten temat.

*Zdjęcie – zakładnicy polscy powieszoni publicznie przez Niemców na Lesznie i ogłoszenie o egzekucji*

W Warszawie wówczas wychodziła gazeta wieczorna, oczywiście cenzurowana przez niemiecką propagandę. Ukazało się w niej ogłoszenie, że w kilku miejscach stolicy władze powiesiły stu kryminalistów, którzy atakowali mieszkańców pochodzenia niemieckiego i którzy byli komunistami. Egzekucje przeprowadzono publicznie dla odstraszenia innych potencjalnych kryminalistów. Dowiedzieliśmy się później, że ci zwykli ludzie po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu, kiedy Niemcy przeprowadzali łapanki. Pamiętam, że dokładnie 22 grudnia Niemcy zaatakowali mieszkańców Wawra i rozstrzelali 100 mężczyzn bez żadnego powodu. Wiadomość o tej egzekucji masowej nie pojawiła się w wieczornej gazecie, lecz rozeszła się błyskawicznie po mieście. To był prezent bożonarodzeniowy od Niemców.

### **Rok 1940 – w dalszym ciągu nazistowski terror**

Dzięki ojcu, który zajmował się szkleniem okien, mieliśmy trochę pieniędzy i choć mięso czy inna żywność były bardzo drogie, matka zdołała przygotować świąteczną kolację. Na Wigilii mieliśmy kilkoro gości. Nie dawaliśmy sobie prezentów, bo czasy były ciężkie, ale ojciec otworzył butelkę Chateau d'Yquem i wypiliśmy za lepszą przyszłość. Nie wiedzieliśmy, co

przyniesie, ale przynajmniej byliśmy razem i do tego żywi, co w porównaniu z innymi rodzinami wydawało się prawdziwym błogosławieństwem.

Zima roku 1939-1940 była szczególnie ostra. Węgiel, którym opalaliśmy pomieszczenia, był bardzo drogi, więc grzaliśmy tylko w jednym pokoju, a do tego wkładaliśmy grube swetry i dwie warstwy bielizny. Nigdy więcej w życiu nie odczuwałem tak mocno wpływu pór roku, jak wówczas w Warszawie, kiedy na myśl przychodzili mi pierwotni ludzie i ich walka o przetrwanie w zimie.

Niezbyt dobrze pamiętam rok 1940, z wyjątkiem ostrej zimy. W dalszym ciągu chodziłem do szkoły rzemieślniczej i uczęszczałem na warsztaty na Bródnie; zaczynało brakować żywności, szczególnie mięsa, drobiu i nabiału. Krążyły plotki o polskich Żydach i nowych zarządzeniach dotyczących ich mienia i poruszania się. W tym czasie w Warszawie mieszkało około 350 tysięcy ludzi pochodzenia żydowskiego i choć nie pozbawiono ich domów, musieli rejestrować się w specjalnym urzędzie powołanym przez Gestapo. Dodatkowo musieli powołać tak zwaną Radę Żydowską w miejsce uprzedniej Rady Społeczności Żydowskiej oraz stworzyć Judenrat w każdej grupie.

Plotki nasiliły się, kiedy w kwietniu 1940 roku Niemcy zamrozili konta bankowe należące do Żydów i skonfiskowali ich firmy, nieruchomości, domy, samochody i inne dobra. Mniej więcej miesiąc później okupanci wydali rozporządzenie, że każdy Polak pochodzenia żydowskiego powinien nosić na ramieniu opaskę z gwiazdą Dawida. Zamknięto synagogi i zabroniono Żydom działalności religijnej.

*Zdjęcie – polski Żyd z opaską z gwiazdą Dawida – 1940 rok*

W Warszawie była dzielnica, gdzie mieszkała większość rzemieślników pochodzenia żydowskiego – w granicach ulicy Nowolipki, między Starym Miastem a Śródmieściem, mieszkało około 250 tysięcy Żydów. To zagęszczenie nie było wynikiem dyskryminacji, a ekonomiczną koniecznością; w tym miejscu znajdowało się wiele różnych sklepików i warsztatów rzemieślniczych, tak więc dzielnica żydowska była w istocie rejonem handlowym, gdzie żyli i pracowali rzemieślnicy.

Podobna sytuacja była w innych częściach miasta, na przykład bogaci ludzie i większość dyplomatów mieszkali w rejonie otaczającym Park Łazienkowski, wzdłuż Alej Ujazdowskich. W Śródmieściu mieszkała większość businessmanów, prawników, lekarzy i właścicieli sklepów. Młodzi ludzie z małymi dziećmi mieszkali zwykle w nowych dzielnicach

jak Mokotów, Sadyba, Saska Kępa, Grochów, Wola itd. Oficerowie zaś mieszkali w północnym rejonie miasta – na Żoliborzu.

Nagle moi przyjaciele zaczęli nosić opaski, co wydawało mi się dziwaczne, bo kiedy zdejmowali płaszcze, byli znów podobni do nas, Polaków. Moja matka miała przyjaciół-Żydów, którzy regularnie nas odwiedzali. Bardzo nas bolało, kiedy patrzyliśmy na gwiazdy Dawida, gdyż byliśmy zupełnie bezsilni. Zdawaliśmy sobie sprawę z potęgi militarnej Niemców i Rosjan i tego, że walka z nimi mogłaby skończyć się unicestwieniem narodu polskiego.

Oficjalne stanowisko podziemnych władz polskich – poparte przysięgą rządu polskiego na wygnaniu - było takie, że osoby noszące opaski z gwiazdą są również obywatelami Polski i powinni być chronieni przez prawo w takim samym stopniu jak Polacy, mimo usunięcia opieki prawnej nad Żydami przez Niemców w marcu 1940 roku.

Z tego posunięcia okupanta skorzystali kryminaliści różnego autoramentu, poniżając i okradając innych, kładąc cień na naród polski. Choć wielu z tych niesławnych ludzi otrzymało w latach 1940-1944 wyrok śmierci wydany przez polskie podziemie, to ich działania przyczyniły się do tego, że Polacy byli i są postrzegani w niekorzystnym świetle, choć wielu z nich ryzykowało życiem ukrywając i chroniąc Żydów i ich rodziny przed nazistami.

Wiele polskich rodzin zostało zlikwidowanych przez Niemców za ukrywanie żydowskich przyjaciół. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc naszym przyjaciołom, choć nawet ci wykształceni nie chcieli pozostać na zewnątrz getta, gdzie zostali zmuszeni przenieść się w październiku 1940 roku.

Dlatego tak bardzo denerwują mnie ludzie i grupy w Stanach czy innych krajach, których nawet nie było na świecie podczas II wojny światowej, którzy nie doświadczyli tego, co ja przeżyłem podczas okupacji niemieckiej w Warszawie, którzy wydają niepoważne, błędne i złośliwe oświadczenia z przyczyn politycznych. Jest to niemal tak złe jak niemiecka propaganda winiąca Żydów za upadek ekonomiczny i polityczny przed dojściem Hitlera do władzy w 1935 roku. Taka postawa zaprzecza PRAWDZIE, zniekształca i niszczy pamięć tych bohaterskich Polaków, zamordowanych, torturowanych i straconych przez nazistów.

Na początku 1940 roku Niemcy rozpoczęli akcję ściągania do Warszawy ludności pochodzenia żydowskiego – i w końcu lata powstało warszawskie getto, początkowo zwane rejonem kwarantanny i mieszczące ponad 400 tysięcy osób. Pamiętam, że rodzice dyskutowali ze swoimi przyjaciółmi pochodzenia żydowskiego, czy powinni udać się do

getta, czy jechać na tereny wschodnie okupowane przez Rosjan, gdzie komuniści nie byli tak bezwzględni wobec Żydów.

Tak czy inaczej musieliby porzucić swoje dotychczasowe życie, co w retrospekcji nie było takim złym pomysłem, gdyż ci, którzy zostali w Warszawie, stracili swój dobytek pod koniec wojny. W 1940 roku nikt jeszcze nie przypuszczał, jaka straszna będzie przyszłość, a ludzką rzeczą jest chronić swoją własność, tak więc większość ludzi została w Warszawie. Taka decyzja była łamaniem prawa ustanowionego przez okupanta, które karano śmiercią. Naziści podsycali terror i strach, a wiadomo, że strach jest złym doradcą i nie pozwala podejmować logicznych decyzji.

Wspomniałem wcześniej, że w końcu 1939 roku otrzymaliśmy karty identyfikacyjne; nie pamiętam natomiast, czy Polacy pochodzenia żydowskiego mieli wydane karty po konieczności zarejestrowania się jako Żydzi na początku 1940 roku. Wiem, że niektórzy mieli fałszywe papiery jako chrześcijanie, co w przypadku mężczyzn było dość ryzykowne, gdyż byli obrzezani. Z kobietami było łatwiej, szczególnie z tymi o jasnej karnacji.

Ojciec w dalszym ciągu szklił okna, w 1940 roku postanowił przyłączyć się do cechu metalurgów i zdał odpowiedni egzamin. Gdyby ojciec wystąpił wobec władz niemieckich jako inżynier, miałby spore szanse na to, aby zostać wysłanym do obozu koncentracyjnego, gdyż Polacy mogli być tylko chłopami i rzemieślnikami. Każdy, kto miał jakieś wykształcenie, starał się ukrywać swój zawód.

W marcu lub kwietniu Niemcy dokonali inwazji na Danię, a następnie na Norwegię. Nie napotkali oporu z wyjątkiem okolic Narvika, gdzie stacjonowało wojsko brytyjskie, francuskie i polskie. Następnie z ogromną szybkością Niemcy zaatakowali Belgię, Holandię i Francję, a w końcu czerwca ustanowili nowy nazistowski rząd w Vichy. Miało to ogromny wpływ na życie w okupowanej Polsce. Niemiecka propaganda wychwalała bohaterstwo i potęgę Niemiec oraz nadrzędność aryjskiej rasy nad innymi narodami.

Polski rząd przeniósł się z Tuluzy do Londynu razem z wojskiem i pracownikami, gdzie został uznany podobnie jak rząd generała DeGaulle'a. W tym czasie zreorganizowano polski ruch podziemny. Główną grupą, Związkiem Walki Zbrojnej, dowodził pułkownik przedwojennej armii polskiej, Rowecki, o pseudonimie Grot. Poza tym ugrupowaniem istniał szereg mniejszych grup oporu, których zadaniem było rozbarajanie żołnierzy niemieckich, wysadzanie linii kolejowych, karanie zdrajców itd. W szeregach ruchu oporu walczyli członkowie przedwojennych partii politycznych, w tym Partii Komunistycznej, której działalność była zakazana przez przedwojenny rząd, a która później podlegała Armii Krajowej, następcy Związku Walki Zbrojnej.

Ojciec, po zdaniu egzaminów i otrzymaniu certyfikatu metalurga, zajął się produkcją gwoździ, śrub i nakrętek w niewielkim zakładzie na Woli.

Niewiele osób, które żyły w tym czasie w Warszawie, może wyobrazić sobie codzienność w okupowanym mieście. Być może dobrym porównaniem będzie wyobrazenie sobie przeprowadzki z cywilizowanego, pełnego wszelkich udogodnień Nowego Jorku do głodującej Etiopii, z taką różnicą, że w głodującej i cierpiącej Polsce życie ludzkie było niewiele warte i każdy Niemiec mógł bez żadnego wytłumaczenia strzelić do Polaka bez jakichkolwiek reperkusji ze strony władz. Byliśmy wiecznie głodni, bo jedzenia było bardzo niewiele, a choć można było kupić chleb na kartki, wydawane na początku 1940 roku, porcje były niewystarczające, a ceny na czarnym rynku horendalne. Na przykład kilogram wieprzowiny kosztował jedną dniówkę.

Dostawy żywności podczas okupacji niemieckiej wyglądały tak: Niemcy zmusili Polaków, aby dostarczali – bez żadnego wynagrodzenia - żyto, pszenicę, jęczmień, jak również trzodę chlewną, drób i inne produkty. Całe zaopatrzenie wysyłane było do Niemiec, a później na front.

Chłopi produkowali więcej, niż oddawali Niemcom – po lasach kryły się tajne hodowle bydła i trzody, a zboże było ukrywane po wsiach przed inspektorami. Tak więc większość produktów szła do Niemiec, ale też część zostawała na wyżywienie rodziny i sprzedaż na czarnym rynku ludziom mieszkającym w miastach. Na początku roku Niemcy skonfiskowali wszystkie samochody, a jedynym środkiem komunikacji był wóz zaprzężony w konia. Na drogach ustawione były punkty kontrolne, gdzie sprawdzano wszystkich przejeżdżających. W pociągach działały specjalne grupy tzw. Bahnhoffpolizei : pociąg był zatrzymywany na stacji, wszyscy musieli wysiąść, a Niemcy w tym czasie sprawdzali, czy w bagażach nie ma mięsa, kiełbas, masła, jaj, drobiu itd., a znalezione żywność wyrzucali na ciężarówki stojące na peronie.

Z powodu trudności i wysokiego stopnia ryzyka, żywność była bardzo droga. Mięso jadaliśmy bardzo rzadko. Niektórzy profesjonalnie trudnili się szmuglowaniem żywności i mieli opracowane sposoby na uniknięcie Niemców. Ludzie radzili sobie jak mogli. W miastach każdy skrawek ziemi był wykorzystany na ogródki warzywne: parki, bulwary, dachy domów. System szmuglowania żywności do miasta działał przez całą okupację i wydaje mi się, że również pod okupacją komunistyczną do roku 1950.

Pamiętam, że na ulicach widziało się grube kobiety; moja matka również wkładała na siebie mięso i kiełbasy pod ubranie. Dziś może to wydawać się śmieszne, ale wtedy to był poważny sposób nakarmienia choć części populacji.

W każdym pociągu była grupa uzbrojonych Niemców, którzy kontrolowali pociąg podczas jazdy. W parowozach używano węgla, a ponieważ węgiel był głównym źródłem ogrzewania mieszkań, był rozkradany przez załogę lub ludność. Tak więc poza tym, że byliśmy nękani politycznie przez Gestapo, ryzykowaliśmy również nasze życie zdobywając żywność i węgiel, dwie rzeczy potrzebne do tego, aby przeżyć. Ponieważ waluta niemiecka wydawana w Polsce, była bezużyteczna, ludzie inwestowali w złoto, dolary, złote monety, biżuterię i inne drobiazgi.

W domu, gdzie mieszkaliśmy, miałem kilku przyjaciół. Zauważyliśmy, że wiele osób znika bez śladu, i to nie tylko Żydzi, którzy chcieli mieć nową tożsamość, ale ludzie aresztowani przez tajną policję niemiecką. Wielu z nich, aby uniknąć aresztowania, ukrywało się na wsi do czasu zdobycia nowych dokumentów tożsamości.

Wiosną i latem niemiecka propaganda wychwalała zwycięstwa na zachodzie; mówiono, że upadek Wielkiej Brytanii jest tylko kwestią dni, a Niemcy będą panować nad całym światem. Komunistyczna Rosja, która dokonała wspólnie z Niemcami podziału Polski, eksportowała ropę i jej produkty, jak również rudę żelaza, do Niemiec przez okupowaną Polskę.

W lipcu 1940 roku Niemcy zaostrzyli przepisy dotyczące wyjazdów Żydów do strefy rosyjskiej, a pojawiły się plotki o zorganizowaniu warszawskiego getta. Latem Niemcy zaczęli przenosić Żydów z mniejszych miast do dzielnicy zwanej wówczas strefą kwarantanny, jednocześnie przenosząc Polaków z tej strefy do miasta. Do końca października 1940 roku wszyscy Żydzi mieli przenieść się do getta.

Było to szczególnie okrutne w przypadku ludzi lepiej sytuowanych, którzy mieli piękne i dobrze wyposażone mieszkania – ponieważ nie mogli wszystkiego przenieść do zatłoczonego getta, byli zmuszeni sprzedawać meble. Mieszkania zostały skonfiskowane przez Niemców bez żadnych odszkodowań i przekazane urzędnikom niemieckiej administracji. To samo stało się z pozostałym w mieszkaniach wyposażeniem.

Jeszcze przed październikiem 1940 roku ludzie, którzy przenieśli się do getta, mogli swobodnie przemieszczać się między swoim starym mieszkaniem a miejscem, gdzie żyli obecnie. W ten sposób mogli zdobywać żywność, w czym również my pomagaliśmy.

W naszym budynku było czworo dzieci, między innymi dziewczynka w moim wieku, której ojciec był dentystą. Kiedy rodzina przeniosła się do getta, a krążyły plotki o przymusowym wysiedleniu wszystkich Żydów, nasza mała grupka zebrała się w opuszczonym mieszkaniu dziewczynki. Czuliśmy instynktownie, że wkrótce się rozstaniemy.

*Mapa – warszawskie getto*

Mieliśmy wtedy po 13-14 lat i sytuacja przerastała nasze wyobrażenia; nie rozumieliśmy, dlaczego Niemcy chcą rozdzielić dzieci, które razem mieszkały i bawiły się. Nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie i czy przeżyjemy tę wojnę. Nie chcieliśmy się rozstawać, bo lubiliśmy swoje towarzystwo, a poza tym wszyscy byliśmy polskimi dziećmi bez względu na wyznanie.

Nie mieliśmy nic do jedzenia, więc pokroiliśmy kilka pomidorów, a ponieważ czuliśmy się bardzo dojrzałe, wypiliśmy wszyscy butelkę wódki. To był nasz ostatni wspólny posiłek, chcieliśmy czuć się innymi ludźmi, więc instynktownie wybraliśmy wódkę, jako napój dorosłych. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, a nastrój smutku i powagi będzie tkwił w mojej pamięci do końca życia. Cóż za ironia – dziś nie pamiętam imion moich przyjaciół, nawet tej żydowskiej dziewczynki, która w platonicznym sensie była moją pierwszą dziewczyną. Po tym, jak przeniosła się z rodzicami do getta, nigdy o niej nie słyszałem.

Niektóre dzieci udało uratować się przez zesłaniem do getta. Iwonka, córka doktora-położnika, który przyjmował mnie na świat, została wysłana do klasztoru za Warszawę, gdzie przebywała do końca wojny. Potem wyemigrowała do Toronto, gdzie spotkaliśmy się w 1955 roku. Mam do dziś jej zdjęcie, zrobione w parku w Toronto.

W połowie listopada zamknięto warszawskie getto, lecz można było tam przechodzić na podstawie przepustki wydanej przez władze niemieckie. Ojciec kilkakrotnie przechodził za łapówkę do getta i przynosił żywność naszym przyjaciołom.

#### *Zdjęcie – zamykanie murem warszawskiego getta. Październik 1940 rok*

Wigilia 1940 roku była ciężka. Głodowaliśmy, w getto szerzyły się takie choroby zakaźne jak tyfus, wydawało się, że Niemcy wygrywają wojnę i nikt ich nie powstrzyma. Propaganda niemiecka grzmiła o zwycięstwach w Europie i przypominała, że jakkolwiek opór jest bezsensowny, a Polacy powinni nauczyć się zaakceptować takie życie, jakie zorganizowali im Niemcy. Wiedzieliśmy, że coraz więcej ludzi jest wysyłanych do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Ravensbruck, gdzie ginęli od kul, z głodu, śmiertelnych zastrzyków, zostali powieszani czy otruci. W podziemiach Oświęcimia przeprowadzano tajne eksperymenty z cyklonem B, testowanym na polskich intelektualistach, który miał być później używany do masowych egzekucji na polskich i europejskich Żydach. W tamte Święta Bożego Narodzenia modliliśmy się o ocalenie, gdyż czuliśmy, że nasze życie powoli zanika.

*Zdjęcie – mieszkańcy getta słuchają niemieckich ogłoszeń przez megafony*

*Zdjęcie – scena w getto*

## **Rok 1941 i największy błąd Hitlera**

Podczas wojny miałem kilku dobrych kolegów; zaprzyjaźniliśmy się podczas nauki na tajnych kompletach, gdzie pracowaliśmy w grupach po 6-8 osób. Jednym z moich przyjaciół był Roman Stefańczak, którego ojciec był muzykiem i przed wojną grał w orkiestrze symfonicznej. Ponieważ orkiestrę rozwiązano, ojciec Romana zatrudnił się w niemieckim klubie nocnym. Choć można było uważać pracę dla Niemców za hańbę, z innego punktu widzenia było to dobre wyjście, bo dokumenty wydane do tej pracy chroniły przed wysyłką do niemieckich obozów pracy. Poza tym praca umożliwiała zdobywanie resztek z kuchni, do nakarmienia całej rodziny. Czasy, w jakich żyliśmy, były niepewne i ryzykowne; wiele ludzi inwestowało w złoto i walutę amerykańską. W centrum miasta, przy głównym urzędzie pocztowym na placu Napoleona, istniał czarny rynek wymiany i złota. Kręciło się tam wielu młodych ludzi, ubranych jak maklerzy giełdowi, zajmujący się wymianą złotych na marki niemieckie lub dolary amerykańskie, handlujący złotem, monetami i walutą. System działał sprawnie jak mrowisko: każdy miał swoje wyznaczone zadanie. Z „giełdy” korzystali również Niemcy, a handlarze unikali łapanek i kar. Nawet jeśli ktoś został złapany, to szybko wychodził za odpowiednio wysoką kaucją, co oczywiście było wliczone w ryzyko prowadzenia interesu. A wymiana waluty była bardzo lukratywnym interesem.

Mój ojciec po otrzymaniu dyplomu mechanika otworzył wspólnie z panem Galinowskim niewielki sklep pod numerem 41 na Nowym Świecie. Kiedy nie miałem szkoły, przyjmowałem w sklepie telefony.

W tym czasie, na początku 1941 roku, niektórym udawało się uciec z getta. Na ulicach widać było małe żydowskie dzieci, ośmio- czy dziesięcioletnie, żebrzące o jedzenie. Widok był niezmiernie przykry, bo większość wychudzonych dzieci ubrana była w łachmany. Choć sami głodowali, ludzie dzielili się żywnością z żydowskimi dziećmi, lecz byli też tacy, którzy wyganiaли je z klatek schodowych na ulicę.

W pierwszej połowie 1941 roku Niemcy zagęszczali warszawskie getto i jednocześnie obcinali racje żywnościowe. Szerzył się terror – coraz więcej było masowych egzekucji, urządzanych w odwecie za działania polskiej armii podziemnej. Niemcy – aby mieć dostateczną liczbę Polaków do egzekucji – utrzymywali większą grupę więźniów, z których wybierali tych do stracenia. Zwykle egzekucja była poprzedzona ogłoszeniem szefa Gestapo,

włącznie z listą ofiar. Zwykle podawano: stu Polaków za jednego Niemca. Okupant stosował również inną metodę – łapanki. Blokowano ulicę za pomocą ciężarówek i łapano przechodniów, a następnie przewożono ich na Pawiak w pobliżu getta. Zwykle byli to niewinni ludzie, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na ulicy podczas łapanki i którzy zostali straceni, o ile rodzina nie mogła wpłacić ogromnych sum za ich uwolnienie.

Na początku 1941 roku chodziłem jeszcze do szkoły handlowej, ale krótko przed końcem roku szkolnego władze niemieckie zamknęły wszystkie szkoły, zwolnili nauczycieli i w większości wysłali ich do więzienia lub obozu koncentracyjnego. Odkryli bowiem, że w pewnych szkołach nauczano innych przedmiotów niż te dozwolone. Trzeba było znaleźć inny sposób na edukację, jeśli nie chcieliśmy stać się niewolnikami okupanta. Nauczyciele z mojej szkoły, którzy uniknęli aresztowania, zaczęli pracować z chłopcami z Batorego w ramach tzw. kompletów w prywatnych domach. Przychodzili do domu, mieli wykład, zadawali pracę domową i poprawiali ją. Kompletu zwykle zbierały się po południu, a każda sesja składała się z pięciu przedmiotów, takich jak matematyka, historia, niemiecki, łacina itp. Lekcje odbywały się w różnych mieszkaniach, a ich częstotliwość była często zmieniana z obawy przed aresztowaniami. Takie działanie wymagało wysokiego stopnia konspiracji ze strony wszystkich uczestników. I tak kształciłem się do wybuchu Powstania Warszawskiego w sierpniu 1944 roku.

Prowadzenie kompletów było bardzo ryzykowne i często słyszeliśmy o aresztowaniach nauczycieli, których wysyłano do obozu koncentracyjnego, a uczniów do obozu pracy – w naszym przypadku mieliśmy szczęście, bo nikt nie wpadł w pułapkę. Odważni nauczyciele ryzykowali codziennie własnym życiem, by uczyć nastolatki, i należy im się cześć jak bohaterom wojennym, którzy wyróżnili się w walce, a może nawet więcej, gdyż zapewniali młodzieży właściwe wykształcenie, motywację i pragnienie studiowania na zagranicznych uczelniach.

Ponieważ trudności ze zdobyciem żywności nasilały się, gdyż Niemcy konfiskowali coraz więcej towaru od chłopów, pewnego majowego dnia ojciec zabrał mnie na wieś, gdzie wcześniej pojechała moja matka, aby kupić mięso od znajomej służącej. Pojechaliśmy pociągiem w kierunku Terespoła, do wsi leżącej około 36 kilometrów od granicy dzielącej Polskę na dwie strefy okupacyjne: niemiecką i rosyjską.

We wsi pojawiliśmy się około 10 rano. Zgłodnieliśmy, więc na śniadanie przygotowano nam jajecznicę z ośmiu jaj z kielbasą. W Warszawie nie widzieliśmy jajek od pół roku, nie mówić o kielbasie – zapamiętam tę ucztę do końca życia, bo po dwóch latach głodówki zjedliśmy porządny posiłek. Co dziwne, nie rozchorowaliśmy się z przejedzenia i ten przypadek

wykazał różnicę między człowiekiem niedożywionym a głodnym. Nikt z mojej rodziny w Stanach czy Australii nie wyobraża sobie, co oznacza pusty żołądek dzień i noc.

Zostaliśmy na wsi przez tydzień; pogoda była wspaniała, chodziliśmy z ojcem na spacer do lasu, wdychając zapach żywicy i deptając dywan z igieł sosnowych. Czułem się jak przeniesiony do raju – żadnych ograniczeń, żadnych egzekucji, ani śladu Niemców.

Nasi gospodarze ubili świnie, ważącą jakieś 130 kilogramów i pocięli tuszę na kawałki. Ojciec kupił około 25 kilo mięsa i 5 kilo kiełbasy, które zapakował do torby i włożył ją do walizki.

Czekając na pociąg, który miał odjechać dopiero za dwie godziny, ojciec porozmawiał a zawiadowcą stacji i dowiedział się, że Niemcy przeszukują każdy pociąg na stacji 40 kilometrów stąd. Nasze mięso było w niebezpieczeństwie. Kiedy pociąg przyjechał, ojciec poszedł porozmawiać z maszynistą. Ubili targu – mieliśmy podróżować w wagonie z węglem, za co maszynista i pomocnik mieli otrzymać trochę mięsa i kiełbas. W Siedlcach, po bardzo szczegółowej kontroli, wielu pasażerów straciło swoje bagaże, podczas gdy ja, ojciec i nasze mięso leżeliśmy cicho na stercie węgla, ponieważ Niemcy nie chcieli zawracać sobie głowy przeszukiwaniem brudnego parowozu. Wróciliśmy bezpiecznie do Warszawy dzięki refleksowi mojego ojca i pomocy maszynisty.

W czerwcu 1941 roku Niemcy zaatakowały Rosję i na początku zepchnęły Armię Czerwoną w kierunku Moskwy, Kijowa i Leningradu bez żadnego oporu z drugiej strony. Niemcy byli tak podnieceni, że kilka razy dziennie nadawali komunikaty; w centrum Warszawy na lampach ulicznych zainstalowano specjalne głośniki, przez które płynęły wiadomości o zwycięstwach odniesionych w Rosji.

Do stolicy przybywało coraz więcej Niemców z rodzinami; mieszkali w konfiskowanych od Polaków mieszkaniach, w rejonach otoczonych drutami kolczastymi. W dalszym ciągu było bardzo trudno zdobyć żywność, Polacy musieli coraz ciężiej pracować, nasilały się łapanki i publiczne egzekucje, coraz więcej Niemców patrolowało ulice miasta, sprawdzając dokumenty tożsamości i aresztując podejrzanych.

W tym czasie nastąpiła reorganizacja polskiego podziemnego ruchu oporu, zgodnie z instrukcjami rządu londyńskiego po aresztowaniu i zamordowaniu w obozie koncentracyjnym niedaleko Berlina komendanta tego ruchu. Po reorganizacji każdy członek grupy znał jedynie jednego komendanta i kilku kolegów-konspiratorów, tak więc w przypadku aresztowania i tortur można było zdradzić dane niewielu osób. Nie znano również nazwisk kolegów z konspiracji, a jedynie ich pseudonimy. Związek Walki Zbrojnej, podległy rządowi w Londynie, był podzielony na różne oddziały, jak oddział ds. dywersji, sabotażu, wywiadu,

otwartego ruchu oporu, czy propagandy, bardzo ważnej dla utrzymania właściwego morale w społeczeństwie.

*Zdjęcie – Nowy Świat 16. Na 1-szym piętrze mieszkała rodzina krawca, na drugim mieściła się Gaga*

*Zdjęcie – nazistowcy policjanci sprawdzają dokumenty*

Mój kontakt z podziemnym ruchem oporu zaczął się bodajże w 1942 roku, kiedy razem z kolegami pisaliśmy na murach: „Polska walczy”, „Polska zwycięży”, czy słynny znak Warszawskiego Ruchu Podziemnego – kotwic w kształcie litery P. Zwykle robiliśmy to wieczorami; jeden stał na czatach, a drugi pisał. Wspomniałem już, że na ulicach kręciło się wiele niemieckich partoli, więc musieliśmy bardzo uważać.

*Zdjęcie – Janusz 1942*

*Zdjęcie – Janusz 1943*

Poza ruchem oporu, podległym rządowi w Londynie, działały również inne ruchy reprezentujące partie polityczne, takie jak PAL (Polska Armia Ludowa), należąca do ruchu komunistycznego, czy PAN (Polska Armia Narodowa), ultrakonserwatywna i będąca w opozycji do tego ruchu. Po jakimś czasie Polska Armia Narodowa połączyła się z głównym ruchem oporu i powstała AK (Armia Krajowa). Polska Armia Ludowa pozostała niezależna i – popierana przez Armię Czerwoną – stworzyła załazek władzy komunistycznej w Polsce po zakończeniu wojny. Pierwszym dowódcą polskiego ruchu podziemnego, jak wspomniałem wcześniej, był generał Grot-Rowecki. Jego następcą został Bór-Komorowski, generał brygady w polskiej kawalerii.

W latach 1942-1943 nasiliły się kontakty między rządem londyńskim a polskim podziemnym ruchem oporu; między Londynem i Warszawą krążyli kurierzy, część z nich była również zrzucona z samolotów na spadochronach. Jedynym z kurierów był Jan Karski, który dotarł do Londynu przez Szwecję, aby poinformować rządy Wielkiej Brytanii i Ameryki o zbrodniach popełnianych na Żydach. Obce mocarstwa jednak nie zdawały sobie w pełni sprawy z ogromu nieszczęść, jaki spotkał polskich Żydów – po prostu nie wierzyły, że takie rzeczy mogły dziać się w Polsce.

Moje kontakty z podziemnym ruchem oporu zainicjował kolega z kompletów, Tadeusz Krusko, którego wprowadził do ruchu kuzyn, a którego rodzice poza mieszkaniem w

Warszawie mieli jeszcze willę za miastem. Przedstawiono nas osobie z działu propagandy, a potem w 1942 lub 1943 roku – wprowadzono do działu sabotażu. Razem z Tadkiem i kilkoma innymi kolegami utworzyliśmy małą sekcję kadetów, gdzie uczyliśmy się musztry wojskowej, poznawaliśmy rodzaje broni, studiowaliśmy niemieckie i polskie podręczniki wojskowe, uczyliśmy się również o materiałach wybuchowych, jak przygotować proch strzelniczy i materiały wybuchowe, jak rozbrajać żołnierzy niemieckich. To ostatnie było niezmiernie ważne, gdyż w ten sposób zdobywaliśmy broń dla naszego oddziału.

Miałem wówczas 14 czy 15 lat i byłem niezmiernie zafascynowany swoją nową rolą. Rodzice o niczym nie wiedzieli, a matka dostałaby zapewne ataku serca, gdyby poznała prawdę o moich zajęciach.

Tylko Tadek, jak i kolega Welke znaliśmy swoje nazwiska. Innych znaliśmy jedynie pod pseudonimami. Ja miałem pseudonim „Derwiz”.

Jak wspominałem wcześniej, Tadek Krusko i ja chodziliśmy na komplety organizowane codziennie, a raz w tygodniu na zajęcia w ruchu oporu. W tym czasie rodzice Tadka przebywali głównie w willi za Warszawą, więc mieliśmy mieszkanie dla siebie. Trzymaliśmy w nim broń; zaczynaliśmy od jednego pistoletu i kilku sztuk amunicji, a przed wybuchem Powstania Warszawskiego nasz arsenał składał się z 10 czy 12 pistoletów i dwóch „Błyskawic”.

Pod koniec 1941 roku Tadek opowiedział mi o wyścigach konnych na Służewcu; gonitwy zwykle były organizowane na wiosnę i na jesieni. Razem z Tadkiem zajęliśmy się obstawianiem koni na wyścigach – zapisywaliśmy szczegóły wszystkich gonitw, włącznie z warunkami atmosferycznymi, i po pewnym czasie znaleźliśmy dokładnie możliwości każdego konia. Zaczęliśmy od niewielkich stawek i co najdziwniejsze – wygrywaliśmy. W ten sposób zdobyliśmy wspaniałe źródło przychodów, a do tego tajne, gdyż nikt o nim nie wiedział. Mieliśmy pieniądze na wypady do restauracji, do kina, czy na randki.

W końcu 1941 roku przeszedłem do dziewiątej klasy, miałem niewielkie przychody, razem z Tadkiem, należałem do podziemnej organizacji i odbyłem szkolenie w dywersji i sabotażu instalacji niemieckich. Ten rok był dość spokojny w porównaniu z latami późniejszymi.

## **Rok 1942; okrucieństwa Nazistów na porządku dziennym**

Terror okupanta nasilał się, co powodowało zwiększony opór ze strony podziemia – niczym pędząca kula śnieżna - im silniejszy odwet, tym większe represje.

Naszym zadaniem było rozbrajanie niemieckich żołnierzy i to tak, aby nie zostać złapanym. Nie było ku temu wiele okazji, ulice były patrolowane przez Niemców, więc próba odebrania broni mogła skończyć się tragicznie.

Najpopularniejszą metodą było wysłedzenie żołnierza niemieckiego idącego z dziewczyną, zwykle prostytutką. Kiedy wchodzili do domu, następował atak z naszej strony. Niektórzy żołnierze od razu oddawali broń, inni stawiali opór i w tym przypadku jedynym sposobem było skrócenie życia żołnierza i dziewczyny. Była to trudna decyzja, gdyż po pierwsze, ginęła Polka, a po drugie Niemcy w odwecie rozstrzelaliwali polskich zakładników .

Jak wspominałem, u Tadek w mieszkaniu gromadziliśmy i czyściliśmy broń. Pewnego dnia oliwiliśmy niemiecki pistolet Parabellum czy Luger, i Tadek położył palec na spuście, który po naciśnięciu dawał w połowie drogi lekki opór. Tadek chciał znaleźć ten punkt i nagle pistolet wystrzelił. Na szczęście nie celował ani w siebie ani we mnie, ale byliśmy mocno wystraszeni. Trzeba było sprawdzić, czy nikt nie słyszał strzału, tym bardziej, że mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Chyba nikt nic nie zauważył, ale teraz musieliśmy znaleźć kulę. Między pokojem a kuchnią była ściana z cegły o grubości około 20 cm, a w kuchni znajdowała się metalowa szafka, gdzie na dolnej półce stało wiadro z piaskiem.

Odkryliśmy, że kula przeszła przez ścianę, zrobiła otwór w wiadrze i zatrzymała się w środku. Byliśmy tak przerażeni, że natychmiast spakowaliśmy się i opuściliśmy mieszkanie. Co za szczęście – nikt nas nie widział. Mieliśmy wtedy po 15 lat.

Polski ruch podziemny otrzymywał ciężką broń ze zrzutów przez Polskie i Królewskie Siły Powietrzne, głównie broń przeciwczołgową, karabiny maszynowe, granaty ręczne, urządzenia telekomunikacyjne i materiały wybuchowe. W tym czasie zwiększyła się liczba grup partyzantów, których zadaniem było przejmowanie zrzutów, wysadzanie mostów i torów kolejowych, magazynów z zaopatrzeniem i stacji przekaźnikowych.

Partyzanci zatrzymywali również dostawy niemieckie na front rosyjski, koło Leningradu, na obrzeżach Moskwy i nad Wołgą. Na wschód od Bugu w okupowanej Polsce ciągnęły się ogromne połacie leśne, gdzie działali partyzanci polscy i rosyjscy.

*Zdjęcie – napis na murze głoszący zemstę za masowe mordy w więzieniu na Pawiaku w 1943 roku*

*Zdjęcie – most między północną i południową częścią warszawskiego getta ( teren poniżej dla szlachetnie urodzonych)*

Jedna z grup partyzantów działająca w rejonie rzeki Bug, sfotografowała i przesłała do Londynu zdjęcia prototypów nowych rakiet, V-1 i V-2. W grupach szkoleni byli również młodzi ludzie, szczególnie ci poszukiwani przez gestapo – mogli zniknąć na jakiś czas i zmienić tożsamość.

W 1942 roku liczba aktywnych członków Armii Krajowej wynosiła, jak mi się wydaje, nie więcej niż cztery do pięciu tysięcy, włącznie z elitarną grupą „Kedyw”(Komenda Dywersji Wojskowej).

Jak wspominałem wcześniej, mój ojciec wszedł w spółkę z architektem i otworzył sklep na Nowym Świecie, gdzie chodziłem odbierać telefony i odrabiać lekcje.

Latem 1942 roku nabrałem nagle ogromnej chęci na żeglowanie. Mój przyjaciel był właścicielem dwóch plaż nad Wisłą, gdzie miał niewielką przystań z żaglówkami. Zaczęliśmy pływać na żaglówkach z Tadkiem. Nie mieliśmy żadnych podręczników, więc używaliśmy jedynie naszej wyobraźni. W jaki sposób żaglówka płynie pod wiatr? Nie mogliśmy tego pojąć. W końcu zrezygnowaliśmy i zaczęliśmy pływać na kajakach – nabraliśmy tężyzny i mogliśmy się porządnie opalić.

Uczęszczałem w dalszym ciągu na szkolenie wojskowe, o czym oczywiście moi rodzice nie mieli pojęcia. Złożyłem przysięgę, że nikomu nie powiem o swojej działalności groźbą kary śmierci. Chciałem być bardzo odważny i działać na szkodę Niemców, tym bardziej, że codziennie słyszało się o okrucieństwach gestapowców wobec ludności polskiej i żydowskiej. W grupie uczniów był kolega o pseudonimie Łoś, wybierany często do rozbrajania Niemców. Pewnego razu zastrzelił stawiającego opór Niemca i zaczął uciekać. Podczas ucieczki przeskoczył najeżony kawałkami szkła mur, rozciął sobie dłoń i zgubił zdobyty na Niemcu pistolet. Tak więc pomimo czyhających niebezpieczeństw pod koniec roku w swoim arsenale mieliśmy sześć czy siedem sztuk broni.

*Zdjęcie – polskie kobiety prowadzone na egzekucje przez nazistowski szwadron śmierci, 1942 rok*

Inną akcją był bojkot kin prowadzonych przez Niemców, które razem z teatrami i gazetami były jedynym źródłem rozrywki, jako że słuchanie radia było surowo zabronione i karane śmiercią. W Warszawie było około dwudziestu kin, w których wyświetlano niemieckie filmy propagandowe i opiewające zwycięstwa na froncie rosyjskim, lekkie komedie muzyczne i dramaty historyczne sławiące nadrzędność rasy germańskiej.

Do kina chodziła – z braku innej rozrywki – głównie młodzież. Ponieważ ruch podziemny krytykował filmy propagandowe, nasze grupy miały za zadanie umieszczanie w salach kinowych bomb duszących. Bomba taka była zrobiona ze starego negatywu lub filmu i następnie zawinięta ciasno w gazetę. Po zapaleniu nie płonęła ogniem, ale wydzielala przeraźliwy dym i smród, które zmuszały publiczność do szybkiej ucieczki na świeże powietrze. Takie akcje były stuprocentowo bezpieczne – z powodu ciemności winowajca nigdy nie był złapany, a do tego podczas seansu wolno było palić. Musiałby być wyjątkowo niezręczny, żeby dać się schwytać na gorącym uczynku.

Pod koniec 1942 roku z getta zaczęły napływać ponure wieści. Ludzie głodowali i umierali, a Niemcy ustawili oddziały SS wokół getta pod pozorem szerzenia się epidemii. Nikt nie mógł wejść ani wyjść. Choć prawdą było, że ludzie umierali co dzień na tyfus i inne choroby z powodu złych warunków, to główną przyczyną odizolowania getta od reszty miasta była chęć zapobiegania szmuglowi żywności, broni i innych dostaw z miasta. Jediną drogą pozostały kanały.

Koniec 1942 roku to również początek końca nazistowskiego imperium, praktycznie zatrzymanie naporu armii niemieckiej w Afryce, Włoszech, Europie i Rosji. Jednak w okupowanych krajach takich jak Polska, Ukraina i zachodnia Rosja, rozpoczął się okres terroru i ogromnych ludzkich cierpień. Ponieważ system nazistowski bazował na nienawiści do Żydów i rasy słowiańskiej, narody te miały zostać wyeliminowane dla oczyszczenia populacji w Europie.

Ruch podziemny z drugiej strony zreorganizował się w bardziej wydajny i zintegrowany system. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli wojna się przeciągnie lub gdyby Niemcy ją wygrali, następnym krokiem byłoby wyeliminowanie Polaków w obozach koncentracyjnych, całej trzdziesiętomilionowej populacji. Ludność żydowska liczyła przed wojną około trzech milionów, więc Niemcom łatwiej było zacząć od eksterminacji Żydów i Cyganów, izolując ich od reszty społeczeństwa.

Myślę, że winę za niemal całkowite wyniszczenie populacji żydowskiej ponoszą alianci. Choć polski ruch podziemny przekazywał zdjęcia i dane dotyczące systemu połączeń kolejowych, służącego w wielkim stopniu do transportu ogromnych rzeszy ludności do komór gazowych, nie było żadnej reakcji z drugiej strony. Gdyby alianci bombardowali linie kolejowe prowadzące do obozów koncentracyjnych i znajdujących się tam komór gazowych i krematoriów, pogrom Żydów w takich miejscach jak Oświęcim-Birkenau, Treblinka, Buchenwald czy Dachau mógłby być znacznie zredukowany, a wiele ludzi uniknęłoby strasznego losu.

Dlaczego ponad 50 lat po wojnie prowadzone są śledztwa zmierzające do odzyskania skonfiskowanych przez Nazistów własności żydowskich, a nie prowadzi się śledztwa, dlaczego alianci nie zrobili nic, aby zatrzymać totalną destrukcję narodu żydowskiego przez nazistów? Pomimo niezbitych dowodów dostarczonych prezydentowi Stanów Zjednoczonych i Premierowi Zjednoczonego Królestwa przez polski rząd na uchodźstwie, o istnieniu obozów koncentracyjnych, nie podjęto żadnej akcji.

Na początku 1943 roku Łoś został aresztowany przez Gestapo podczas próby rozbrowienia żołnierza niemieckiego. Nie wydał nikogo pomimo tortur i w końcu został stracony. Po śmierci został uznany za bohatera i odznaczony orderem.

Musieliśmy być bardzo ostrożni; nie można było wierzyć nikomu z wyjątkiem najbliższej rodziny i kolegów z ruchu podziemnego. Z drugiej strony niektórzy etniczni Niemcy, tzw. Volksdeutsche, widząc zbliżający się koniec wojny, próbowali zintegrować się z Polakami i Żydami.

Przełom 1942 i 1943 roku stał się znany jako początek końca niemieckiego imperium, przy intensywnej akcji oporu organizowanej przez ruch podziemny. Organizacyjnie ruch podzielony był na departamenty: produkcji broni, przygotowywania fałszywych dokumentów, gromadzenia i dystrybucji broni, amunicji i żywności. Wydział wywiadowczy organizacji podziemnej AK posiadał różnorodne źródła informacji w organizacji nazistowskiej i dostarczał rządowi polskiemu w Londynie szczegółowych informacji o niemieckich planach operacyjnych czy nowych rodzajach broni, potrzebnych do opracowywania planów aliantów na froncie zachodnim.

Pod koniec 1942 roku razem z Tadekiem chodziliśmy na szkolenie wojskowe w organizacji „Szare Szeregi”, a także uczęszczaliśmy na tajne komplety. Oczywiście ważniejsze dla nas było szkolenie wojskowe, a efektem było to, że Tadek nie zdał do dziewiątej klasy, a mnie ledwo udało się prześlizgnąć.

### **Rok 1943. Zachód słońca nad Trzecią Rzeszą; ciągle prześladowania**

W miarę poszerzania działalności dywersyjnej naszej grupy i dalszego szkolenia wojskowego nasz arsenał zdobytej na Niemcach broni rósł i teraz stawało się jasne, że dłużej nie możemy jej gromadzić w prywatnym mieszkaniu. Musieliśmy poszukać innego miejsca. Tadek znał niejakiego Schoena, który po wybuchu wojny jako Volksdeutsch chciał czerpać profity z

likwidowanych przez Niemców Żydów, lecz z upływem czasu zdał sobie sprawę z bliskiego końca wojny i pogromu Nazistów.

Shoen miał syna w moim wieku, który chciał przyłączyć się do podziemnego ruchu oporu. W sklepie, przejętym od Żydów przez Shoena, pracowały dwie Polki, i tam postanowiliśmy umieścić nasz arsenał. Gestapo raczej nie sprawdzało sklepu, którego właścicielem był Niemiec, a poza tym Shoen miał pozwolenie na broń.

Na kompletach miałem wspaniałego nauczyciela biologii, pana Rogowskiego – posiadał sporą bibliotekę i zbiór rozmaitych przedmiotów zebranych podczas wyprawy do brazylijskiej dżungli na początku lat 30-tych. Lekcje w jego mieszkaniu były prawdziwą przyjemnością: mogliśmy dotykać tych wszystkich cudów, a poza tym miał dwie urocze córki. Podczas mojego pobytu w Warszawie w 1997 roku dowiedziałem się, że profesor Rogowski został aresztowany przez policję w 1945 roku i od tego czasu nikt o nim nie słyszał.

#### *Zdjęcie – tyfus w warszawskim getto*

Innym ulubionym przeze mnie przedmiotem była łacina. Mieliśmy fantastycznego nauczyciela, dla którego język ten był żywy, a jego filozofia i metody nauczania poruszyły mój umysł. Nauczyciel, pan Popławski, zginął w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku.

Życie w Warszawie na przełomie 1942 i 1943 roku było niezmiernie ciężkie; aresztowania na porządku dziennym, akcje odwetowe ruchu podziemnego i kolejne akcje odwetowe okupanta. Niewiele wiedzieliśmy o tym, co dzieje się w getto. Kontakty stały się sporadyczne, ponieważ ruch został ograniczony i nie wiedzieliśmy, czy i ile osób jest przewożonych do obozów koncentracyjnych, pomimo nawiązania kontaktu podziemia z Żydowską Organizacją Bojową, której dostarczano broń. Ogólny nastrój wśród ludności w getto był do roku 1943 raczej pasywny, szczególnie starszego pokolenia. Choć w getto ludzie umierali od chorób i z głodu, a warunki pogarszały się z każdym dniem, mieszkańcy nie zamierzali podejmować żadnej akcji.

#### *Zdjęcie – Kobiety i dzieci w drodze do pociągów transportowych do obozów koncentracyjnych, kwiecień 1943 rok*

Jedynie niewielka grupa młodzieży żydowskiej zdecydowała się chwycić za broń. Na początku 1943 roku niemal wszyscy w getto wiedzieli już, że transporty do obozów koncentracyjnych mają na celu eksterminację narodu żydowskiego.

W końcu marca 1943 roku w getto z początkowych 600 tysięcy pozostało jedynie około 60 tysięcy ludzi i kiedy 19 kwietnia Niemcy zaczęli likwidację warszawskiego getto, zostali powitani gradem kul. Wybuchło powstanie zorganizowane przez Żydowską Organizację Bojową. W tym samym czasie Niemcy rozpoczęli likwidację gett w Krakowie, Łodzi i Lublinie, co oznaczało wyrok śmierci dla ich mieszkańców.

Bojownicy żydowscy atakowali Niemców granatami, tzw. „cocktailami Mołotowa” i minami. SS obawiało się wchodzić do domów, więc zaczęli je palić i wysadzać. Niebo nad Warszawą pociemniało od dymu.

Schwytni przez Niemców Żydzi wysadzali się razem z napastnikami w powietrze, dlatego Niemcy wydali rozkaz, aby jeńców nie chwycić żywych. W końcu okupanci przejęli budynek na Miłej 18, gdzie mieściło się dowództwo Żydowskiej Organizacji Bojowej i od tej pory opór ludności żydowskiej był sporadyczny, również z powodu niewielkiej liczby bojowników oraz broni i amunicji.

*Zdjęcie – mały chłopiec żydowski terroryzowany przez Nazistów podczas powstania w getto w kwietniu 1943 roku*

Podczas powstania w getto, w ciągu jednego miesiąca zginęło 22 tysiące ludzi, a część Warszawy została zrównana z ziemią.

Delegat rządu polskiego w okupowanym kraju wysyłał alarmujące informacje do Londynu, Stanów Zjednoczonych i Francji o okrucieństwach popełnianych przez Niemców, ale rządy tych krajów nie podjęły żadnej akcji.

Alianci nie zrobili nic. Dlatego ponoszą taką samą odpowiedzialność jak szwajcarscy bankierzy, którzy odnosili korzyści z ofiar holocaustu. Po prostu nie chcieli nic wiedzieć, nawet kiedy jeden z członków rządu polskiego w Londynie, polski Żyd o nazwisku Szmul Zygielbojm w proteście popełnił samobójstwo.

Wiele osób ze społeczności chrześcijańskiej – pomimo groźby kary śmierci – ryzykowało własne życie, aby pomóc Żydom. Oczywiście nie mogli ocalić wszystkich, ale ważne jest to, że próbowali uratować swoich braci, podczas gdy ci krytycy w Stanach Zjednoczonych i innych krajach, którzy teraz zrzucają winę na Polaków, nie zrobili kompletnie nic, aby pomóc nieszczęśnikom podczas II wojny światowej.

Kończącym aktem kryminalnym Niemców było wysadzenie Wielkiej Synagogi na ulicy Tłomackie, co oczywiście opublikowali z dumą w całej okupowanej Europie jako triumf nad

Żydami Jakże się mylili; w ciągu dwóch lat nazizm upadł, a po pięciu latach powstało niepodległe państwo żydowskie.

Jeden z moich kuzynów, Ladek Buczyński, był członkiem organizacji podziemnej. Pięć lat starszy ode mnie, student uniwersytetu, idealista o poglądach socjalisty, Ladek wziął udział w słynnej akcji napadu na komendanta Gestapo, generała Kutschere, który miał zostać zabity za kryminalne akty popełniane na Polakach. Operacja przeprowadzona w biały dzień na ulicy Warszawy udała się, a Kutschera został śmiertelnie ranny. Uwierzyliśmy, że Naziści – pomimo przewagi w zaopatrzeniu w broń – nie są niepokonani. Mój kuzyn Ladek został poważnie ranny podczas akcji i aresztowany, torturowany i stracony przez Gestapo. Ponieważ należał do organizacji popieranej przez komunistów, którzy rządzą w Polsce po wyzwoleniu, został uznany bohaterem i pochowany na cmentarzu wojskowym. Kiedy pojechałem tam z Rennie i Claire, zrobiłem na cmentarzu kilka zdjęć jego grobu.

#### *Zdjęcie - Artyleria nazistowska użyta w ataku na getto, kwiecień 1943 rok*

Po upadku powstania w getto i wysłaniu pozostałych mieszkańców do obozów koncentracyjnych – głównie do Oświęcimia, gdzie uwięziono również wielu polskich intelektualistów, oficerów, członków ruchu podziemnego i zwykłych obywateli – nasilił się terror ze strony okupanta. Po odwozie Niemców spod Stalingradu wiedzieliśmy, że w końcu przegrają wojnę. Było to tylko kwestią czasu.

Działalność polskiego ruchu podziemnego nasilała się; wysadzano coraz więcej pociągów jadących na front wschodni, coraz więcej osób było zaangażowanych w akcje sabotażowe. Ponieważ coraz więcej czasu spędzałem na szkoleniu wojskowym, przestałem chodzić na komplety i w końcu nie przeszedłem do dziesiątej klasy.

Tadek poradził mi, abym nic nie mówił o tym rodzicom, tylko powiedział, że lekcje nie będą się odbywały w naszym domu ze względu na bezpieczeństwo. Sam nie chodził na komplety od dwóch lat.

#### *Mapa – lokalizacja nazistowskich obozów koncentracyjnych w Europie*

Koniec roku 1943 był unikalny w porównaniu z poprzednimi latami niemieckiej okupacji. Wszyscy mieli dosyć okrucieństw popełnianych przez Niemców, a najważniejsza dla mnie i Tadka była walka z nazistowcami. Pewnego dnia wysadziliśmy w nocy niemiecki pociąg przewożący zaopatrzenie i żołnierzy; na pewno trudniej było zreperować most niż tor

kolejowy, więc uważaliśmy to za wielki sukces. Akcje niszczenia torów, mostów i magazynów nie były proste, gdyż te miejsca były pilnie strzeżone przez Niemców, niemniej długoletnia okupacja stępiła w jakimś stopniu nasze zmysły i nie dbaliśmy tak o własne bezpieczeństwo jak przed wojną. Naszym głównym celem było spowodowanie jak największych szkód wrogowi.

Kiedy Niemcy zaatakowali Rosję w czerwcu 1941 roku i przed końcem roku dotarli do przedmieść Moskwy, Rosjanie nie stawiali oporu; brak było silnej armii, a Armia Czerwona – zdolna prowadzić strategiczną wojnę na dużą skalę - została przetrzebiona przez Stalina w latach trzydziestych.

W takich warunkach zimą 1941 roku rząd polski nawiązał kontakt z rządem radzieckim. Jednym z warunków normalizacji stosunków między dwoma krajami było uwolnienie wszystkich członków armii polskiej internowanych przez Sowieców pod koniec 1939 roku, po inwazji na Polskę w wyniku tajnego niemiecko-sowieckiego paktu podpisanego tydzień przed najazdem Niemiec na Polskę.

Polacy uwięzieni przez Sowieców byli wysłani do obozów pracy, tak zwanych gułagów, od Wołgi po półwysep Kamczatka, gdzie musieli pracować w strasznych warunkach klimatycznych, w głodzie i poniżeniu ze strony strażników i niesławnego NKWD. Teraz Rosjanie byli gotowi uwolnić Polaków i utworzyć armię, aby walczyć z Niemcami.

W 1943 roku miałem jeszcze jednego kolegę, Witolda Ptaka, który mieszkał w tym samym domu, a którego brat zajmował się handlem walutą na czarnym rynku. Witold bardzo chciał przyłączyć się do ruchu podziemnego, ale ponieważ nie znałem zbyt dobrze jego i jego rodziny, siedziałem cicho. Czasem w trójkę z Tadkiem chodziliśmy do parku lub kawiarni.

Mieliśmy już po 16-17 lat i naturalnie zaczęliśmy interesować się dziewczętami, a jedynymi miejscami, gdzie mogliśmy je spotkać, były właśnie parki, kawiarnie i inne publiczne miejsca, trochę ryzykowne ze względu na łapanki. Witold miał doskonałą okazję zarabiania pieniędzy dzięki bratu i wciągnął mnie również do pośredniczenia między bratem a drobniejszymi handlarzami.

Chodziliśmy wtedy do znanej kawiarni Cafe Club, gdzie zbierali się Polacy, żołnierze niemieccy oraz dziewczęta i gdzie łączyliśmy przyjemne z pożytecznym: obserwowaliśmy niemieckich żołnierzy umawiających się na randki z polskimi dziewczynami i przy okazji poznawaliśmy nowych ludzi.

Czasami bywało niebezpiecznie, gdyż Gestapo w każdej chwili mogło sprawdzać dokumenty i biada temu, kto nie miał ich w porządku, bo nie uniknął aresztowania. Opracowaliśmy system wczesnego ostrzegania, tak że osoba bez odpowiednich dokumentów mogła opuścić

kawiarnię. Pamiętam, że przedstawiono mnie młodej, może szesnastoletniej dziewczynie. Kiedy spotkała Witolda, oboje zakochali się w sobie bez pamięci.. Mnie wówczas tak na niej nie zależało, bo podobała mi się inna dziewczyna, Helena, którą poznałem wcześniej przez znajomych. Od tej pory Witold wydawał wszystkie pieniądze na nową dziewczynę.

Pewnego dnia spotykałem go w kawiarni. Powiedział, że złapał chorobę weneryczną. Byliśmy zszokowani; oznaczało to, że dziewczyna miała stosunki również z innymi mężczyznami. Witold był po uszy w niej zakochany i razem wybrali się do lekarza. Czytałem wówczas literaturę klasyczną i między innymi przeczytałem „Manon Lescaut” Guy de Monpasanta. Olśniło mnie. Podobnie było z Witoldem: dziewczyna wyciągnęła od niego wszystkie pieniądze, a potem odeszła z innym. Witold miał złamane serce. Zginął w wieku siedemnastu lat w Powstaniu Warszawskim w sierpniu 1944 roku. Jest pochowany razem z Batalionem Kilińskiego na cmentarzu wojskowym w Warszawie. Byłem na jego grobie w kwietniu 1997 roku.

Ja sam byłem wtedy mocno zaangażowany w działalność dywersyjną i sabotażową. Moimi najbliższymi kolegami byli Tadek Kruszko, Gaga Welke i Jurek, którego nazwiska nie pamiętam. Podczas naszych wspólnych spotkań poznałem swoją pierwszą miłość, Helenę. Ojciec Heleny był architektem i sądzę, że był również zaangażowany w podziemnym ruchu oporu, bo nigdy nie było go w domu. Nasze relacje z Heleną były czysto platoniczne; chodziliśmy przytuleni, trzymając się za ręce i rozmawiając o przyszłości. Straciłem z nią kontakt w czasie Powstania Warszawskiego i nie wiem co się stało z nią i jej rodziną. Wiem, że ulica, gdzie mieszkali, została zajęta przez Niemców trzeciego lub czwartego dnia Powstania, a mieszkańcy zamordowani. Czy Helena przeżyła? Ironią jest to, że nie pamiętam nawet jej nazwiska.

### **Rok 1944. Widać światełko na końcu tunelu**

Po porażce pod Stalingradem wojska niemieckie zaczęły wycofywać się z frontu wschodniego. W tym czasie na konferencji w Teheranie mocarstwa zdecydowały, że nie będą prowadziły żadnych negocjacji pokojowych z Niemcami, na które ci ostatni mieli nadzieję w przypadku zwycięstwa nad Rosją.

Niemniej na początku 1944 roku Stany Zjednoczone wysyłały ogromną produkcję – samoloty, czołgi, armaty i inną broń – dla Armii Czerwonej, natomiast produkcja militarna Rosji została przesunięta na wschód od Uralu, poza zasięg niemieckiego Luftwaffe. Tak więc

Armia Czerwona rosła w siłę, a zwycięstwo pod Stalingradem bardzo wzmocniło morale żołnierzy, którzy zaczęli wierzyć w szybkie zdobycie Berlina.

Choć Sowietci stale przypominali aliantom o konieczności utworzenia drugiego frontu, to z drugiej strony nie odpowiadali na apele rządu polskiego w kwestii grobów polskich oficerów, odkrytych w Katyniu przez Niemców. Armia Polska, utworzona w Rosji w latach 1942/1943 walczyła pod dowództwem generała Andersa w Afryce Północnej i Włoszech. Po śmierci generała Sikorskiego nad Gibraltarem Sowietci zerwali stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie i utworzyli własny rząd komunistyczny w Moskwie, a niewielkie grupy wojska, które nie opuściły Rosji z generałem Andersem, zostały wciągnięte do armii polskiego komunisty, generała Berlinga i włączone do Armii Czerwonej.

Celem Rosji była ekspansja komunizmu w Europie Środkowej, a ponieważ armia rosyjska była mocno zaangażowana w walkę z Niemcami, rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii nie chciały psuć sobie stosunków z Rosją przez akceptowanie polskiego rządu w Londynie. Dlatego oba mocarstwa przekazały rządowi polskiemu, że wszelkie kwestie dotyczące Polski – jej terytorium, społeczeństwa i rządu – zostaną rozwiązane na konferencji jałtańskiej, równocześnie z podjęciem decyzji co do dalszego losu Niemiec po upadku Trzeciej Rzeszy. W tym czasie Armia Czerwona posuwała się na zachód i dotarła do Ukrainy, Białorusi i krajów nadbałtyckich. Żołnierze walczącej na wschodzie Polski Armii Krajowej często byli aresztowani przez napierającą Armię Czerwoną, a na apele brytyjskiego premiera Stalin odpowiadał, że aresztowani to przestępcy z gangów. Rządy amerykański i brytyjski nie chciały angażować się w dyskusję między Polakami a rządem Sowieckim.

Drugim punktem zapalnym było zamordowanie polskich oficerów, których groby odkryto w Katyniu. Niemcy zażądali przysłania przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża, lecz Polacy odmówili, chyba że Rosjanie przysłaliby również swoich przedstawicieli. Rząd rosyjski zupełnie zignorował te żądania, a Polacy – nie chcąc być oskarżeni o współpracę z Niemcami – zamierzali skontaktować się ze szwajcarskim Czerwonym Krzyżem. Wówczas rząd rosyjski zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim, oskarżając Polaków o popieranie niemieckiej propagandy.

W lasach Katyńskich odkryto około 4000 ciał. Międzynarodowy Czerwony Krzyż odmówił współpracy z powodu braku udziału Polaków i Rosjan w identyfikowaniu i katalogowaniu ofiar, więc Niemcy zwrócili się do Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża i do krajów neutralnych o pomoc przy autopsjach. Eksperci stwierdzili, że wszyscy oficerowie zostali zamordowani na początku 1940 roku, kiedy te tereny były pod kontrolą Rosji. Pierwsza rozmowa na temat zaginionych polskich oficerów miała miejsce między generałem Sikorskim

i Stalinem w grudniu 1941 roku, kiedy to generał wręczył spis 10 tysięcy nazwisk oficerów i innych osób,, uwięzionych przez Sowietów podczas najazdu Rosji na Polskę w e wrześniu 1939 roku.

*Zdjęcie – pomnik pamięci polskich oficerów, zamordowanych przez Sowietów w lasach katyńskich w 1940 roku*

Dokumenty ujawnione po upadku Związku Radzieckiego pokazują, że oficerowie zostali zamordowani krótko po 17 kwietnia 1940 roku przez rosyjską tajną policję na mocy rozkazu z Kremla. Ciał pozostałych 6 tysięcy oficerów nigdy nie odnaleziono.

Polacy byli zszokowani odkryciem ofiar w Katyniu; zrozumieli, że żyją między dwoma okrutnymi sąsiadami. Rząd polski w Londynie był bezsilny, tym bardziej, że premier Churchill skłaniał się ku opinii, że to Polacy popełnili błąd. Tymczasem Armia Czerwona posuwała się w głąb terytorium Polski, a jednocześnie od zimy 1943 roku armia niemiecka rozpoczęła odwrót z Rosji. Przez Warszawę maszerowały kolumny Niemców, przy akompaniamencie zrzuconych przez Rosjan bomb.

Radio rosyjskie stale podgrzewało Polaków do powstania przeciwko Niemcom, których morale tak upadło, że coraz łatwiej było nam ich rozbrajać. Arsenał u pana Schoena powiększał się, a ja sam trzymałem w domu niemieckie Parabellum 9 mm.

*Zdjęcie – czerwiec 1944 rok*

*Górne: zatłoczony warszawski autobus*

*Dolne: barykady z drutem kolczastym przed niemieckimi urzędami*

Wiosna 1944 roku była przepiękna. Drzewa w pełnym rozkwicie i upojny zapach. W Warszawie było kilka parków, między innymi Park Łazienkowski, ze stawem i pięknym niewielkim pałacem, który zbudował ostatni król polski, a także teatrem w kształcie rzymskiego amfiteatru. Zbieraliśmy się tam całą grupą, spacerowaliśmy każdy ze swoją dziewczyną, ja z Heleną, rozmawialiśmy i wygłupialiśmy się.

Obok Łazienek znajdował się Park Ujazdowski i Ogród Botaniczny Uniwersytetu Warszawskiego, razem z obserwatorium astronomicznym. Choć Niemcy zamknęli Uniwersytet, to Ogród Botaniczny był w dalszym ciągu otwarty i warszawiacy mogli tam chodzić i podziwiać róże, azalie, peonie, rododendrony i inne egzotyczne rośliny.

Był to czas spokoju - ciszą przed burzą, przed wichurą, która zmieniła moje życie w sposób nieoczekiwany.

W maju i czerwcu widać było coraz więcej cofających się Niemców. Teraz poza wyposażeniem wojskowym Niemcy ciągnęli ze sobą bydło, konie, owce i świnie, jak również żywność: mąkę, ziarno i inne produkty, kradnąc po drodze co się da. Niemcy, cofając się, zwykle wysadzali w powietrze zakłady przemysłowe, stacje kolejowe i elektrownie, aby nie wpadły w ręce Rosjan.

W lipcu Armia Krajowa została postawiona w stan pogotowia, ale nie docierały do nas żadne szczegóły. Ze względów bezpieczeństwa codziennie zmieniano rozkazy i lokalizacje. Armia Czerwona dotarła do Bugu i zaczęła przygotowywać się do ataku na stolicę.

Komendant Armii Krajowej był w stałym kontakcie z rządem polskim w Londynie; w radio – będącym w rękach Polskiej Partii Komunistycznej - stale nadawano komunikaty nawołujące do powstania przeciwko Niemcom i przekazania terytorium Armii Czerwonej.

Tydzień przed końcem lipca zwiększyła się liczba uchodźców niemieckich ze wschodu, a cofające się wojska zaczęły wysadzać za sobą mosty. Krążyły plotki, że Armia Czerwona znajdowała się około 100 kilometrów przed Warszawą.

*Zdjęcie –*

*górne: niemieckie wojska opuszczają Warszawę*

*dolne: mieszkańcy Warszawy czytają niemieckie ogłoszenia o naborze 100 tysięcy Polaków do budowy fortyfikacji dokoła Warszawy przed nadciągającą Armią Czerwoną*

Armia Krajowa była w trudnym położeniu. Generał Bór-Komorowski zdecydował o kontynuowaniu przygotowań do Powstania; w przeciwnym razie ryzykowałby życie tysięcy młodych ludzi, których Niemcy chcieli wykorzystać do budowy fortyfikacji. Gdyby Armia Krajowa zajęła miasto, nie pozwoliłaby na toczenie walk między Niemcami i Rosjanami w stolicy. Swoją decyzję o wybuchu powstania w dniu 1 sierpnia generał Bór-Komorowski przekazał rządowi w Londynie.

W ostatnich dniach lipca umawiałem się z Tadkiem, że pójdziemy razem do naszego dowództwa. Nie znaliśmy dokładnego miejsca, wiedzieliśmy tylko, że to gdzieś na Woli. Kiedy nadeszła godzina „W” i Tadek nie pokazał się, wyszedłem z domu. Zobaczyłem wielu młodych ludzi z biało-czerwonymi opaskami na rękawach i wtedy nie wytrzymałem – wbiegłem do domu po Lugera i granaty, i wówczas ujrzała mnie matka. „Janusz, zabiją cię!”

krzyknęła. Powiedziałem jej, że od dawna jestem w podziemnym ruchu oporu i nic mnie nie powstrzyma. Wybiegłem na ulicę.

## **62 dni krwi i chwały**

Biegłem ulicą Marszałkowską, wśród wielu innych. Nagle spostrzegłem młodego mężczyznę, którego spotkałem wcześniej. Miał dwa pistolety maszynowe – dał mi jeden i razem poszliśmy szukać naszego dowództwa. Wokół nie było widać żadnych Niemców. Mieszkańcy Warszawy stali na ulicach i klaskali w dłonie. Przyprawdzono wystraszonego Niemca w średnim wieku, z którym zacząłem rozmawiać, bo trochę znałem niemiecki. Powiedział, że pracuje dla niemieckich linii kolejowych i przypadkowo znalazł się na ulicy, a jest zwykłym cywilem. Dokoła zaczął się zbierać tłum, niektórzy krzyczeli, że to niemiecki szpieg. Zaczęło się robić nieprzyjemnie, a nie chcieliśmy dopuścić do zlinczowania go na ulicy. Powiedzieliśmy, że zabieramy Niemca do dowództwa i tam zdecydują, co się z nim stanie.

W końcu udało nam się znaleźć dowództwo szóstej kompanii batalionu Kilińskiego w pobliżu budynku PASTy. Zameldowaliśmy się i oddaliśmy Niemca w ich ręce.

Zajęliśmy pozycję na rogu Zielnej i Świętokrzyskiej. Kolega przebiegł przez Zielną, żeby mieć lepszą widoczność i stamtąd strzelał. Nagle ujrzałem, jak kula uderza go w czoło. Upadł. Co miałem zrobić? Podbiec i ratować go? Czy już nie żył? Ktoś pojawił się z tyłu i chwycił broń zabitego, a kiedy biegł w bezpieczne miejsce, dosięgła go kula. Kolejny żołnierz chwycił za broń – i jemu udało się uciec.

To wszystko działo się w ciągu kilku minut. Dwie osoby zginęły, a ja po prostu stałem. Po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy, jak giną ludzie i nie mogę opisać, co wtedy czułem. Dwie minuty wcześniej człowiek żył, a teraz go nie było. Stałem jak otepiały.

Ponieważ zaczęło się ściemniać, zdecydowałem się zaciągnąć do szóstej kompanii na Zielnej. Powiedziałem, że zostałem oddzielony od swojej jednostki i może kiedy sprawy ustabilizują się, będę w stanie ją odnaleźć, a na razie mogę pomagać w szóstej kompanii tym bardziej, że mam broń. W jednostce spotkałem typowego warszawiaka o pseudonimie „Bimber”, a ponieważ miałem Prabellum i karabin maszynowy, dałem mu Parabellum. Poprosiłem dowódcę o przepustkę, bo chciałem odwiedzić rodziców i zapewnić ich, że nic mi się nie stało. Kiedy przechodziłem Sienną, ujrzałem dwóch Polaków ciągnących ciało Niemca, którego przekazałem komendantowi szóstej kompanii. Było mi przykro, gdyż wydawał mi się

niewinny, a poza tym miał żonę i dwoje małych dzieci – widziałem ich na fotografii. W tym rejonie odbywały się polowania na Niemców, gdyż wielu cywili było snajperami, a poza tym Polacy chcieli zemścić się za cztery lata poniżenia, nieludzkiego traktowania, tortur i publicznych egzekucji popełnianych przez okupanta. Każdy Niemiec był podejrzany.

Do domu dotarłem około 10 wieczorem i zostałem powitany jak bohater. Opowiedziałem rodzicom, co się wydarzyło i gdzie mieści się moja kompania. Nagle koło 11.00 zdałem sobie sprawę z tego, że niedaleko mieszka pan Schoen, który pomagał nam przechowywać broń, więc powinien w zasadzie być chroniony przez ruch podziemny. Nie chciałem, żeby spotkał go taki sam los jak tamtego Niemca.

Cała rodzina Schoenów była w domu: rodzice, dwie córki i dwie sprzedawczynie. Ojciec powiedział, że jego syn Waldek walczy koło Politechniki. Nagle rozległo się pukanie do drzwi i weszło dwóch Polaków z komitetu ochrony. Próbowaliśmy interweniować, mówiąc, że jestem członkiem Armii Krajowej, a pan Schoen pomaga ruchowi podziemnemu przechowując broń. Mężczyźni powiedzieli, że wszyscy mamy udać się do komitetu w budynku polskiego komisariatu policji.

Kiedy dotarliśmy do komisariatu, rozdzielili nas. Poszedłem do komendanta i zacząłem wyjaśniać, że pan Schoen od dwóch lat przechowuje broń. Kiedy komendant powiedział, że wszystko zostanie wyjaśnione i żebym zostawił broń, w swojej naiwności posłuchałem go. W jednej chwili ogromny dryblas chwycił mnie i wciągnął do celi. Siedziałem wścickły i zmartwiony, bo bałem się, że wezmą mnie za niemieckiego szpiega i rozstrzelają na miejscu bez żadnego sądu.

Nagle zobaczyłem znajomego i zacząłem go błagać, aby mnie ratował. Powiedziałem mu wszystko o panu Schoenie i jego synu, walczącym w szeregach Armii Krajowej. Miałem szczęście; dowódca szóstej kompani przysłał po mnie Bimbę, który był zbulwersowany tym, co mi się przydarzyło. Komendant przeproszał mnie za zatrzymanie, tłumacząc zawile, że mieli sygnał o tym, że w mieszkaniu Schoenów ukrywa się snajper, a do tego nie oddał mi broni. Kiedy zapytałem o Schoenów, powiedziano mi, że zostali przeniesieni w inne miejsce. Nigdy więcej ich nie spotkałem. Obawiam się, że zostali straceni jako niemieccy szpiegi.

*Zdjęcie – barykada na ulicy Wolskiej na początku powstania w sierpniu 1944 roku*

*Zdjęcie – płonąca Hala Mirowska*

Kiedy pojawiłem się w dowództwie, zapisano mnie formalnie w randze kaprała w szóstej kompanii. Szósta kompania znajdowała się w śródmieściu, w rejonie Hali Mirowskiej i Parku

Saskiego, a teren wokół Grobu Nieznanego Żołnierza był ufortyfikowany i broniony przez Niemców uzbrojonych w ciężki sprzęt. Podobnie było w okolicach Alej Jerozolimskich: dworzec kolejowy był w rękach Niemców. Poza tymi miejscami całe śródmieście w rejonie ulic: Aleje Jerozolimskie, Nowy Świat, Królewska, Hala Mirowska, Chłodna i Żelazna było w rękach batalionu Kilińskiego, składającego się z dziesięciu kompanii i liczącego łącznie około 3000 tysięcy żołnierzy. Nasz batalion działał w rejonie Hali Mirowskiej i zachodniej części Królewskiej. Mieliśmy za zadanie sprawdzanie sytuacji na tym terenie, więc dowódca zdecydował się wysłać mnie, Bimbę i jeszcze jednego kolegę na zwiady.

Ulice były praktycznie puste, bo ludzie chowali się w schronach, a wokół nie było widać żadnych Niemców. Po drodze spotkaliśmy patrol z Elektoralej i dowiedzieliśmy się, że oni również nie spotkali Niemców, a Polacy rozlokowani są w rejonie ulicy Młynarskiej i koło getto. Wiedzieliśmy, że naszym zadaniem – poza obroną PASTy – będzie również ochrona rejonu Placu Grzybowskiego i ulicy Bagno w razie ataku z zachodu, a do tego potrzebowaliśmy większych posiłków.

Dostałem znów przepustkę do domu, gdzie spotkałem kolegę, Witolda Ptaka. Chciał również przyłączyć się do Powstania, więc wróciliśmy razem i Witold został włączony do innego plutonu.

Noc trzeciego sierpnia pod PASTą była dość spokojna. Naszym zadaniem było przemieścić się w kierunku zachodniej ściany budynku - gdzie nie było okien, więc Niemcy nas nie widzieli i mogliśmy tam przenieść się bez walk - i poczekać na saperów, którzy mieli podłożyć ładunki wybuchowe. Saperzy pojawili się koło 2.00 w nocy, ładunki wybuchły, ale niestety okazało się, że nie uczyniły większych szkód. Cały budynek miał grube ściany i był zbudowany jak forteca. Co za frustracja. Mogliśmy jedynie strzelać do Niemców albo wziąć ich głodem.

Od strony północnej budynek przylegał do Królewskiej i Ogrodu Saskiego, skąd Niemcy przesyłali do PASTy zaopatrzenie w żywność i broń. Poruszali się bez przeszkód, gdyż po tej stronie nie było żadnej barykady. Jednym wyjściem było całkowite okrążenie budynku i odcięcie Niemców od zaopatrzenia z zewnątrz. Szósta kompania zaczęła budować barykadę od północnej strony, przy ulicy Zielnej, co trwało aż do przejścia PASTy w połowie sierpnia. W międzyczasie zastanawialiśmy się, co się dzieje z wojskami rosyjskimi, które nagle trzeciego sierpnia zupełnie ucichły – czy nam pomogą, czy nie, może dokonują przegrupowań? Wśród żołnierzy i ludności cywilnej przeważał entuzjazm i optymizm, lecz Armia Krajowa – pomimo licznych prób – nie była w stanie skontaktować się z Armią Czerwoną.

Do sześciopiętrowego budynku, gdzie mieściło się nasze dowództwo, zaczęli napływać uciekinierzy z okolicy. Od frontu znajdowały się mieszkania, które wcześniej zajmowali niemieccy urzędnicy pracujący na kolei lub na poczcie i tam zaczęli się wprowadzać ludzie. W niektórych mieszkaniach były jeszcze meble, a w jednym znaleźliśmy nawet materace i resztkę żywności. Z góry był doskonały widok na okolicę – widać było łuny pożarów i zgliszcza.

Ponieważ nasze siły nie były wystarczające do obrony rejonu w razie ataku, dowódca wysyłał stale patrole szukające ewentualnych Niemców – codziennie sprawdzaliśmy więc Chłodną, Halę Mirowską, Grzybowską i Bagno. Ta część miasta należała przedtem do getta, więc po ataku Nazistów w kwietniu 1943 roku była kompletnie zniszczona. Nie było widać żywego ducha, choć zapewne niewielkie grupki ludzi chowały się w schronach i ruinach.

*Mapa – sytuacja w Warszawie 4 sierpnia 1944 roku*

*Polacy; Niemcy*

Dowiedzieliśmy się później, że duża podziemna grupa dywersyjna, tak zwany Kedyw i Szare Szeregi, znajdowała się na ulicy Młynarskiej na Woli, w rejonie ulic Młynarskiej, Żytniej i zachodniej strony Leszna. Grupy te były lepiej wyposażone w broń w porównaniu z grupami ze śródmieścia. Kiedy 4 sierpnia Niemcy zaatakowali, jednostki w rejonie Woli nie mogły jednak swobodnie przemieścić się do śródmieścia z powodu złego rozlokowania i nierówno rozłożonej liczby żołnierzy oraz braku barykad. Czołgi niemieckie przedarły się przez Wolską i Chłodną aż do Hali Mirowskiej i Ogrodu Saskiego, więc jedyną drogą odwrotu dla wojska polskiego było przemieszczenie się do Starego Miasta.

Sądzę, że gdyby w tym rejonie było więcej grup polskich i więcej barykad, można byłoby zatrzymać niemieckie czołgi przed dotarciem do zgrupowań w Parku Saskim. W walkach przyłączali się do nas również ochotnicy, których – z braku broni – wyposażaliśmy w tak zwane cocktaile Mołotowa, efektywne w walce z czołgami.

Trzeba jednak pamiętać, że rozlokowanie jednostek polskich nie było oparte na założeniu prowadzenia dłuższych walk w stolicy. Planowaliśmy, że Powstanie potrwa kilka dni, tym bardziej, że Rosjanie doszli już do prawego brzegu Wisły i stanęli na Pradze. Musieliby tylko przekroczyć rzekę i stanąć na zachodnim brzegu, bronionym przez cały sierpień przez Armię Krajową pomimo ciągłych ataków Niemców od strony północnej.

W naszym budynku, jak wspominałem, znajdowało schronienie wielu uchodźców. Pamiętam jedną staruszkę, której jedynym towarzyszem był mały terier. Dbała o niego jak o dziecko.

Ponieważ w rejonie znajdowało się wiele sklepów, byliśmy dobrze zaopatrzeni w konserwy, nawet mięsne czy rybne, a cukier w dużych ilościach braliśmy z pobliskiej hurtowni.

*Zdjęcie – widok w kierunku północnym z ostatniego pięta budynku dowództwa, początek sierpnia 1944 roku*

Niedaleko nas na Krochmalnej znajdowała się gorzelnia, lecz komendant Śródmieścia, „Monter”, wydał rozkaz zniszczenia wszystkich zapasów alkoholu. Zostawiliśmy niewielką ilość ziarna i cukru dla ludności cywilnej, choć na początku sierpnia nie sądziliśmy, że Powstanie dłużej potrwa i nie martwiliśmy się ewentualnymi brakami żywności.

Początkowo zachłysłeniśmy się odzyskaną wolnością i nie wyobrażaliśmy sobie niczego innego poza zwycięstwem. Jednak czwartego sierpnia sprawy zaczęły przybierać inny obrót. Niemieckie dowództwo najwyraźniej doszło do siebie po pierwszym szoku i zaczęło przegrupowania swoich wojsk wokół Warszawy. Niemcy zdawali sobie sprawę lepiej niż my, że Armia Czerwona mogła przekroczyć Wisłę bez żadnego oporu i wobec dezorganizacji wojsk niemieckich zająć zachodnią część stolicy. Niemcy wydedukowali, że albo Polacy nie zdołali skontaktować się z Rosjanami, albo że Rosjanie nie zamierzali pomóc Polakom.

Jestem przekonany, że wywiad niemiecki wiedział o braku porozumienia między rządem w Londynie a rządem sowieckim. Wspomniałem wcześniej o odkryciu zbiorowych grobów w Katyniu przez Niemców.

*Mapa- sierpień 1944 rok, linia frontu wzdłuż Wisły*

Przerwa w posuwaniu się Rosjan na zachód pozwoliła generałowi Bach-Zalewskiemu, komendantowi SS, przegrupować wojska wokół Warszawy i rozpocząć systematyczny atak za pomocą ciężkiej artylerii, rakiet, bombowców i czołgów w rejonach będących w rękach Armii Krajowej. W skład wojsk niemieckich wchodził również – poza regularnymi jednostkami SS – brygady ukraińskie, tak zwana Armia Własowców, utworzone przez Niemców jako dodatkowe siły pomagające w egzekucjach dokonywanych na rosyjskich partyzantach na terenach okupowanych przez Niemców. Sytuacja wokół Warszawy, krótko mówiąc, była następująca: wszystkie jednostki przeznaczone do przejścia stolicy od Armii Krajowej znajdowały się pod komendą generała SS, Bacha, i składały się z ukraińskich i rosyjskich dywizji SS Waffen, dywizji SS Waffen wspieranych przez regularne wojska, ciężkiej artylerii, zmotoryzowanej brygady czołgów i szwadronu bombowców Luftwaffe.

Armia Krajowa była traktowana jak zgraja bandytów i wielu żołnierzy było rozstrzelanych na miejscu, a nie traktowanych jako jeńcy wojenni.

Niemieckie wojska miały działać pod dowództwem nowego generała, którego zadaniem było zorganizowanie linii obrony wzdłuż Wisły po opanowaniu Warszawy i rozbiciu Armii Krajowej. Hitler chciał zetrzeć naszą stolicę z mapy Europy i wydał rozkaz Von den Bachowi bombardowania, palenia, zabijania i niszczenia miasta i jego mieszkańców.

Na początku sierpnia Armia Krajowa nie znała planów Stalina, dlatego stale wysyłane były meldunki do rządu w Londynie z apelami o ocalenie Warszawy, kiedy Niemcy zaczęli regularnie niszczyć miasto.

Rankiem czwartego sierpnia wybrałem się do rodziców i dokonałem rekonesansu z dachu naszego budynku. Chmielna i Aleje Jerozolimskie były wtedy w rękach niemieckich. Widziałem grupę mężczyzn, kobiet i dzieci prowadzonych przez wojska – jak się później dowiedziałem, ukraińskich SS-manów – w kierunku Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Właśnie w tym rejonie mieszkała moja dziewczyna, Helena. Oczywiście z daleka nie mogłem rozpoznać żadnej twarzy, ale już nigdy więcej nie widziałem Heleny ani nie słyszałem o niej ani o jej rodzinie.

Rejon, gdzie mieszkali moi rodzice, nie znajdował się pod tak silnym ostrzałem, ze względu na ustawione barykady i nasze wojska pilnujące, aby Niemcy nie przedarli się na nasze tereny. Najbardziej obawialiśmy się czołgów niemieckich, tak zwanych Tygrysów, które staraliśmy się niszczyć cocktailami Mołotowa zanim dotarły do barykad. Dawaliśmy sobie również radę z Niemcami i Ukraińcami, którzy na ulicy byli odślonięci i stanowili łatwy cel.

Kiedy wróciłem do naszego dowództwa, okazało się, że większość kompanii została przeniesiona w rejon Hali Mirowskiej, ponieważ Niemcy przypuścili atak w rejonie Wolskiej i Chłodnej. Czwartego sierpnia Niemcy rozpoczęli atak za pomocą wyrzutni rakietowych, zwanych Nebelwerfes, wyrzucających jednocześnie sześć rakiet i czyniących potworny hałas. Nazywaliśmy je „szafami” lub „ryczącymi krowami” ze względu na przenikliwy dźwięk. Rakiety spadały na tereny praktycznie niczyje w rejonie Chłodnej, na zwały gruzu i ruin.

*Zdjęcie: sierpień 1944 rok*

*Górne: Polacy zamordowani (przez Nazistów) w pierwszych dniach Powstania*

*Dolne: tablica upamiętniająca miejsce egzekucji*

Nasza kompania liczyła na początku powstania około 400 żołnierzy, lecz z upływem czasu było nas coraz mniej. Nasz plan dnia wyglądał następująco: 12 godzin na posterunku i 12

godzin odpoczynku. W rejonie walk utrzymywaliśmy kontakt z dowództwem korzystając z pomocy łączników, zwykle dziewcząt, które doskonale znały teren i przenosiły ważne wiadomości w każdej sytuacji – podczas przerwy w walkach i pod silnym ostrzałem. Wiedziały, że od nich zależało nasze życie. W każdym plutonie były przynajmniej dwie łączniczki. Mieliśmy również sanitariuszki, były studentki medycyny lub te, które miały za sobą specjalne kursy udzielania żołnierzom pierwszej pomocy, organizowane przez Armię Krajową przed Powstaniem. Wiele z tych dziewcząt zginęło w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego.

W czasie wolnym jedliśmy jeden ciepły posiłek. Piątego dnia zapasy mięsa wyczerpały się i zaczęliśmy jeść mięso koni i innych zwierząt zabitych podczas nalotów.

Jednego dnia mieliśmy na obiad delikatny gulasz, przypominający w smaku mięso kurze. O ile dobrze pamiętam, obiad przygotował Bimber. „Gdzie zdobyłeś tego kurczaka?”, spytałem. Bimber odpowiedział, że zjedliśmy pudła. O mało się nie udławiłem. Po posiłku zszedłem do schronu, gdzie siedziała staruszka z psem. Martwiła się, że jej pupil nie wraca i na pewno zginął podczas nalotu. Nie mogłem zaprzeczyć i pozwoliłem jej myśleć, że pies zginął bohaterską śmiercią, co w pewnym sensie było prawdą, bo stał się pożywym posiłkiem dla grupy głodnych bohaterów.

W schronach mieszkała grupa młodych kobiet z pobliskiego kabaretu, mieszczącego się po drugiej stronie Marszałkowskiej. Nudziły się siedząc tam dzień i noc i z radością powitały towarzystwo młodych żołnierzy. W domu było sporo wolnych mieszkań, więc mieliśmy okazję spędzać czas z dziewczętami. Trzeba pamiętać, że – parafrazując Churchilla – Powstanie to nie tylko krew, pot i łzy. Byliśmy młodzi i korzystaliśmy z życia. Na równi traktowaliśmy walkę z wrogiem i odpoczynek, niebezpieczeństwa i zabawę. Dziewczęta zresztą bardzo przeżywały, gdy któryś z nas nie wracał z akcji i bardzo z nami się zżyły.

Sytuacja, jaka była w naszym plutonie, mogła zaistnieć tylko w niezwykle specyficznych okolicznościach, w odpowiednim czasie i miejscu. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później zginieemy i nie mieliśmy żadnych planów na przyszłość. Naszym jedynym celem było zniszczenie wroga. Szczególnie nienawidziliśmy Ukraińców, którzy mordowali, gwałcili i palili, a którzy również nienawidzili Polaków, jako że ci ostatni byli właścicielami ziemskimi na Ukrainie przed Rewolucją Październikową.

Niemniej tliła się w nas iskierka nadziei. Byliśmy wszyscy razem podczas Powstania: młodzi i starzy, dobrzy i źli, moralni i niemoralni, zdrowi i chorzy. Stanowiliśmy jedną wielką rodzinę, Modliliśmy się do Boga lub innej Opatrzności. Nie było w nas strachu, nie było

miejsca na szok czy przerażenie. Mieliśmy instynkt przetrwania i działaliśmy bez niepotrzebnej brawury.

Pamiętam jedno wydarzenie szóstego dnia Powstania, które będę pamiętał przez całe życie. Nawet dziś nie mogę uwierzyć w to, co się stało, ale wierzę, że tamtego dnia dotknęła mnie ręka Boga. Wieczorem eskortowałem jedną z łączniczek do dowództwa w PKO na Świętokrzyskiej. Musieliśmy przejść Marszałkowską, która była pod ciężkim ostrzałem od strony Ogrodu Saskiego. W pewnym momencie włożyłem rękę do kieszeni spodni i wyciągnąłem zawleczkę od granatu zwanego „filipinką”. Wyciągnięta zawleczka uwalnia detonator. Miałem w kieszeni granat, który mógł wybuchnąć przy najmniejszym ruchu.. Powiedziałem dziewczynie, żeby się odsunęła. Byłem sparaliżowany ze strachu i biały jak papier, a pot lał się ze mnie strumieniami. Nie mogłem iść, nie mogłem nic zrobić, tylko próbować wyciągnąć granat. Modliłem się i modliłem. Po minucie, która dla mnie dłużyła się jak godzina, wyjąłem granat i odrzuciłem za barykadę. Granat eksplodował, a ja dziękowałem Bogu za ocalenie.

Ten incydent bardzo wrył mi się w świadomość. Nie wiedziałem, co myśleć: miałem szczęście czy to była ręka boska?

Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, myślę o tym, co mi się zdarzyło od czasu, gdy wyjechałem z Polski: wspinała rodzina, dobra żona, interesująca praca zawodowa w Banku Światowym i generalnie szczęśliwe i pogodne życie. Wtedy, podczas Powstania, nasze życie było bardzo tanie i gdybym zginął, byłbym tylko jednym z wielu. Jednak ocalałem i zważywszy na to, co udało mi się dokonać później w życiu, myślę, że to była ręka Boga. W przeciwnym razie nie byłoby na świecie moich synów, córek i wnuków. Jestem przekonany, że z pewnych powodów ocalałem po to, by powstało nowe pokolenie wolne od cierpień, które były udziałem nas i naszych rodziców podczas wojny w Polsce.

Kiedy wróciłem do dowództwa, opowiedziałem kolegom, co mi się przydarzyło. Spotkałem Witolda Ptaka, który wrócił z akcji pod Halą Mirowską i umówiliśmy się, że wezmę od jego brata butelkę alkoholu, aby świętować zwycięstwo. Następnego dnia rano poszedłem po wódkę, a kiedy wróciłem, okazało się, że jednostka Witolda znów wyruszyła na akcję w okolice Wolskiej i Chłodnej. Nasz pluton również został tam wysłany; przeżyliśmy silny ostrzał „ryczących krów” i wielu z nas zostało zabitych i rannych, i pomimo naszych wysiłków, Niemcy i Ukraińcy wspomagani przez kolumnę Tygrysów zdołali przedrzeć się do Hali Mirowskiej i w kierunku Ogrodu Saskiego. Po powrocie spytałem o Witolda.

*Zdjęcie: młoda dziewczyna nad grobem ojca zabitego w Powstaniu, sierpień 1944 rok*

Koledzy powiedzieli, że zginął podczas bombardowania. Byłem zrozpaczony i czułem się winny, gdyż to ja wprowadziłem go do naszej kompanii. Wiedziałem, że jego matka nigdy mi tego nie wybaczy.

Makabryczną ironią było to, że ciągle miałem ze sobą butelkę wódki, którą mieliśmy wypić za zwycięstwo poprzedniego dnia i włączenie Witolda do szóstej kompanii.

Nie wiedziałem, co robić. Myślałem też o tym, że ja ocalałem, kiedy powinienem był zginąć od granatu eksplodującego w kieszeni bryczesów, a Witold zginął natychmiast.

Zdecydowałem się pójść do domu i poprosić rodziców, żeby udali się do rodziców Witolda i powiedzieli im o śmierci syna. W końcu oboje byli rodzicami i ponosili takie samo ryzyko, jeśli chodzi o życie ich synów. Kiedy dotarłem do domu, zobaczyłem, że choć nasz budynek nie został jeszcze trafiony, to dwa sąsiednie były spalone i zdewastowane, a wszyscy siedzieli w schronie.

Pamiętam, że do końca sierpnia mieliśmy jeszcze wodę i prąd w dzielnicach, znajdujących się w rękach Polaków. Ponieważ wodociągi stanowiły jeden system, Niemcy nie byli w stanie wyłączyć wody nie wyłączając jej w swoich rejonach. Oczywiście wodociągi były w wielu miejscach przerwane z powodu ciągłych nalotów, ale wody zabrakło dopiero we wrześniu. Do końca sierpnia elektrownia była w naszych rękach i cały czas pracowała, zanim Niemcy nie przejęli całego rejonu Powiśla. W niektórych częściach miasta nie było prądu, co było spowodowane również bombardowaniami.

Powiedziałem rodzicom, że Witold zginął dzień wcześniej i trzeba powiadomić jego rodziców. Moja matka zaczęła rozpaczać i widziałem, jak ciężko przyjęła tę wiadomość. Wydaje mi się, że rodzice zdecydowali się pójść razem do pani Ptak. Kiedy wychodziłem, matka płakała, a ojciec mocno mnie uściskał.

Szedłem Złotą, kiedy nagle spotkałem dawno nie widzianego kolegę, Leszka Moskwę. Leszek, Tadek i inni koledzy jak Gaga i Jurek byli w tym samym oddziale Kedywu, którego zadaniem była operacja w rejonie głównego dworca kolejowego. Ogromnie się ucieszyłem z tego spotkania, a Leszek zaproponował, abym się do nich przyłączył. Walczyli wówczas w słynnej restauracji Bachus na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Obiecałem, że pomyślę o tym. Właściwie w szóstej kompanii nie miałem przyjaciół, z wyjątkiem Witolda i chłopca o pseudonimie Żbik, który zginął pierwszego dnia powstania pod budynkiem PASTy. Śmierć Witolda i Żbika bardzo mną wstrząsnęła, a cały teren od Hali Mirowskiej, po Plac Grzybowski aż do PASTy był dla mnie złą lokalizacją. W końcu zdecydowałem się przenieść do ósmej kompanii. Ponieważ nie miałem żadnej broni, pomyślałem, że dowódca nie będzie

miał nic przeciwko temu. Tak więc w połowie sierpnia przeszedłem do nowej jednostki, czyli drugiego plutonu ósmej kompanii batalionu Kilińskiego.

Dowództwo mieściło się na ulicy Widok 13, w pobliżu ruin restauracji Bachus. Naszym zadaniem była obrona rejonu między Marszałkowską i Alejami Jerozolimskimi. Był to strategiczny punkt, gdyż Aleje Jerozolimskie były arterią prowadzącą do mostu Poniatowskiego i dzieliły śródmieście na dwie części: północną i południową.

Kiedy przeszedłem do drugiego plutonu, restauracja Bachus była spalona, lecz ściany nadal się trzymały, a na parterze i w piwnicy mogliśmy ulokować swoje stanowiska. Przed bombardowaniem w restauracji był spory zapas alkoholu i żywności, więc część przenieśliśmy na własny użytek. W bloku między ulicą Widok i Chmielną znajdowały się duże delikatesy braci Pakulskich, więc kiedy Niemcy zaczęli podpalać budynki, udało nam się sporo ocalić z zapasów, z których również korzystali cywile.

W następnych dniach prowadziliśmy ostre walki z Niemcami, którzy używali miotaczy ognia. Walczyliśmy dosłownie o każde pomieszczenie, rzucając granaty na wroga przez otwory w ścianach. Co dziwne, choć pokoje były zniszczone, schody jakimś cudem ocalały i mogliśmy atakować Niemców z góry.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy dostaliśmy zrzut od aliantów, w każdym razie zdarzyło się to w drugiej połowie sierpnia. W nowej kompanii dobrze się czułem, bo wszyscy byliśmy raczej w tym samym wieku. Mieliśmy również łączniczki: Zosię, Monikę i Lilkę. Mieliśmy spore zapasy żywności z restauracji i delikatesów. Kiedy nie byliśmy na akcji, siedzieliśmy w dowództwie, jedliśmy, spaliśmy, czyściliśmy broń, albo wygłupialiśmy się.

Sierpień był bardzo suchy i gorący. Koło południa ujrzałem na niebie samoloty aliantów, około 200 maszyn, lecące na dużej wysokości nad Warszawą.

Z każdego samolotu zaczęły spadać jakieś przedmioty, a następnie otworzyły się spadochrony. Początkowo myśleliśmy, że do spadochroniarze wysłani do pomocy przeciwko Niemcom. Kiedy samoloty odleciały, nad Warszawą wisało jakieś dwa tysiące spadochronów, a kiedy opadły niżej, zobaczyliśmy pojemniki i zrozumieliśmy, że to zrzuty dla walczących żołnierzy. Choć około 70% zrzutu wpadło w ręce Niemców, którzy mieli w swoich rękach większe rejon, to byliśmy ogromnie szczęśliwi, że trafiła nam się broń i leki. Ta akcja podbudowała nasze morale, gdyż po raz pierwszy od wybuchu Powstania czuliśmy, że nie jesteśmy sami.

*Zdjęcie: dachy Warszawy – widok z ulicy Widok 8, budynek oznaczony „x”, w kierunku południowo-zachodnim, był w rękach Niemców i dominował nad tym terenem*

W zrzucie nasza kompania dostała broń przeciwczołgową, tak zwane Piaty, oraz około 20 miniaturowych rakiet. Walka o ruiny Bachusa trwała do końca Powstania.

*Zdjęcie: broń przeciwczołgowa, Piat, ze zrzutu aliantów w sierpniu*

Niemcy w atakach na barykady używali tak zwane „Goliaty”, sterowane przez żołnierza znajdującego się w bezpiecznej odległości. Jedynym sposobem zatrzymania „Goliata” było przecięcie jego kabla i zatrzymanie przed barykadą. W niektórych częściach miasta, gdzie udało się zatrzymać „Goliaty”, żołnierze zabierali z niego materiały wybuchowe do wyrobu granatów. Nam nie udało się, bo cały teren od Marszałkowskiej do dworca kolejowego był w rękach Niemców.

W końcu sierpnia dowiedzieliśmy się, że szósta kompania przejęła budynek PASTy na Zielnej; ujęto ponad 100 jeńców i zdobyto taką broń jak granaty, broń przeciwpancerną i ciężki sprzęt. Zwycięstwo podbudowało nasze morale podobnie jak zrzut aliantów kilka dni wcześniej. Ósma kompania również utrzymywała swoje pozycje przy ruinach restauracji Bachus i w Alejach Jerozolimskich pomimo codziennych bombardowań i ataku artylerii. W innych dzielnicach Warszawy, na przykład na Woli, trwały ciężkie walki. Niemcy utrzymywali się stale w rejonie Chłodnej, Hali Mirowskiej i w Ogrodzie Saskim, spychając powstańców w kierunku centrum miasta. Trzeba było ewakuować wszystkie jednostki z rejonu Starego Miasta.

*Zdjęcia: niemieccy jeńcy wojenni przed budynkiem centrali telefonicznej (PASTy) na Zielnej, 20 sierpnia 1944 roku*

W końcu sierpnia Niemcy przypuścili skoncentrowany atak na Stare Miasto, gdzie broniły się jeszcze grupy żołnierzy, którym udało się przedrzeć wcześniej z Woli. Początkowo w tym rejonie było około 15 tysięcy żołnierzy, lecz ich liczba zaczęła gwałtownie spadać. Zaczęło brakować broni, amunicji i żywności.

Dowództwo Armii Krajowej zdecydowało, że jednostki liczące od 9 do 10 tysięcy żołnierzy powinny być ewakuowane albo na Żoliborz, albo do centrum miasta. Ponieważ w drodze na Żoliborz było szereg fortyfikacji przygotowanych przez Niemców, które utrudniałyby ewakuację, zdecydowano, że wojska przejdą kanałami ściekowymi. Zajęłoby to sporo czasu.

Dwa bataliony obrońców Starego Miasta, „Czata 49” i „Zośka” miały przedrzeć się przez niemieckie linie na Plac Bankowy, Elektorálną i do Hali Mirowskiej – akcję zaplanowano na godzinę 11.00 w dniu 29 sierpnia.

Batalion Kilińskiego zgrupował w tym celu dodatkowe plutony i ustawił je w rejonie Hali Mirowskiej. Bataliony wychodzące kanałami ze Starego Miasta na Plac Bankowy i nasze jednostki koło Hali Mirowskiej miały w tym samym czasie otworzyć ogień do Niemców.

Jednostki ze Starego Miast spóźniły się dwie godziny, a kiedy ludzie wyszli z kanałów, znaleźli się nagle pomiędzy namiotami SS-manów. Z sześciuset żołnierzy, którzy byli w kanale, około 20 lub 30 znalazło się na powierzchni; wielu zginęło, w tym komendant „Czaty 49”.

Niemieckie rakiety oświetlały nocne niebo i nie można było wyjść z kanału nie będąc zabitym. Komendant całej grupy, który jeszcze był wewnątrz, zdecydował się zatrzymać, gdyż dalsze posuwanie się do przodu oznaczałoby samobójstwo. Pozostali żołnierze i cywile wyszli na zewnątrz w centrum miasta około 4.00 czy 5.00 rano.

W końcu sierpnia na Starym Mieście było około 40-60 tysięcy cywilów i rannych, przebywających w polowych szpitalach w schronach. Choć przy wejściu do kanału była barykada, to jednak każdy kto chciał się ewakuować, musiał przebiec jakieś 20 metrów pod ostrzałem. Tak więc szło to bardzo powoli, gdyż można było wchodzić tylko pojedynczo. Inną drogą były ścieki wiodące na Żoliborz, lecz kiedy Niemcy zorientowali się, że kanałami przechodzą ludzie, zamknęli wylot kanału do Wisły, co spowodowało podniesienie się poziomu wody w kanale głównym i nie mógł już być używany do ewakuacji.

Kiedy Niemcy i Ukraińcy zamykali Park Krasiańskich, około tysiąca żołnierzy przedarło się na Żoliborz, a około 6 tysięcy plus cywile zostało ewakuowanych ze Starego Miasta do centrum. Ostatni żołnierze wyszli ze Starego Miasta około 2 sierpnia.

Kiedy pijani Własowcy i SS-mani weszli do Starego Miasta, zamordowali z zimną krwią około 15 tysięcy cywilów i rannych żołnierzy, nie oszczędzając nawet personelu medycznego, który zdecydował się zostać i opiekować rannymi.

Wyjście żołnierzy ze Starego Miasta zamknęło jeden rozdział historii Powstania Warszawskiego. Utworzono specjalne komitety, które miały zająć się uciekinierami.

Bardzo zależało mi na skontaktowaniu się z moją pierwszą jednostką, więc poszedłem do matki Gagi na Nowy Świat 16. Dowiedziałem się, że został lekko ranny. W szpitalu wydawało mi się, że Gaga bardzo wydorósł; to był zupełnie inny człowiek niż ten, którego znałem wcześniej. Gaga powiedział, że Tadek dostał pilny rozkaz i nie mógł się ze mną skontaktować pierwszego dnia powstania. Na początku Powstania Gaga i Tadek byli w

batalionie „Czata 49” i walczyli w rejonie cmentarza protestanckiego na Woli. Tadek wszedł na dach budynku, skąd rzucał granaty na nacierające niemieckie czołgi. Atak Niemców był tak silny, że budynek stanął w płomieniach. Tylko Gaga i jeden z kolegów zdołali uciec.

W nocy 28 sierpnia Gaga był wśród tych, którzy wyszli z kanału i zaczęli strzelać do otaczających Niemców. Pod naporem wroga żołnierze musieli z powrotem szybko wskakiwać do kanału. Kiedy Gaga zranił się w stopę, dostał zakażenia i znalazł się w szpitalu. Na Placu Bankowym ich kompania straciła około 20 żołnierzy, a z „Czaty” pozostało jedynie 20 osób, włączając cztery czy pięć łączniczek i sanitariuszek.

Kiedy usłyszałem historię jednostki, do której należeli Gaga, Tadek i inni koledzy, pomyślałem, że miałem ogromne szczęście, że wtedy Tadek nie przyszedł po mnie. Naprawdopodobniej zostałbym zabity na Woli albo na Placu Bankowym. Dziś dziękuję Bogu za ocalenie mnie w prawdziwego holocaustu tamtych dni. Wspominam mojego przyjaciela, który zginął w płomieniach w pierwszych dniach Powstania. Nawet dziś, kiedy piszę te wspomnienia, zastanawiam się, dlaczego miałem tyle szczęścia.

Nie spotkałem więcej Gagi; dowiedziałem się później, że jego grupa została przeniesiona na przyczółek Czerniakowski, gdzie Armia Czerwona miała przekroczyć Wisłę; nastąpiło to jednak dopiero w styczniu 1945 roku.

Chciałbym tutaj wspomnieć o jednej sprawie. Kiedy przyjechałem do Warszawy z rodziną w Marcu 1977 roku, zamieszkaliśmy w Hotelu Solec na Zagórnej. Za hotelem jest kościół zbudowany po wojnie, upamiętniający obrońców z Armii Krajowej, walczących na Czerniakowie. Koło kościoła, wśród nowych bloków, jest przedwojenny budynek. Cieszę się, że pozostał na swoim miejscu. Szkoda tylko, że został odnowiony – chciałbym, aby pozostały na jego murach dziury po kulach i eksplodujących granatach, jako pomnik tych ostatnich dni Powstania.

Kiedy wróciłem do swojej jednostki, dowódca wydał mi rozkaz, abym poszedł ze starszym kolegą, Nersem, na wywiad do sąsiedniego sześciopiętrowego budynku. Na Marszałkowskiej był niewielki ruch Niemców, lecz kiedy spojrzeliśmy w kierunku Alej Jerozolimskich, zaczęto do nas strzelać. Zaczęliśmy cofać się po schodach, gdy nagle Ners został trafiony w brzuch i upadł na podest. Starłem się mu pomóc i zacząłem szukać czegoś w rodzaju noszy, żeby bezpiecznie znieść go sześć pięter po schodach.

*Zdjęcie: budynek poczty głównej przy Placu Napoleona, 4 września 1944 roku*

Kiedy klęczałem koło Nersa, poczułem ból w kroku i zobaczyłem krew. Ponieważ mogłem iść, zabrałem rewolwer Nersowi i szybko zszedłem na dół. Dowódca zaraz wysłał mnie do punktu opatrunkowego, a do Nersa poszła sanitariuszka Oleńka z dwoma kolegami. Podczas schodzenia w dół po schodach Oleńkę trafiła kula, więc oboje trafili do szpitala koło Hotelu Terminus. W tamtych czasach rany w brzuch były groźne, nie mieliśmy antybiotyków ani odpowiednich narzędzi do przeprowadzania operacji, a lekarze operowali w prymitywnych warunkach. Moja rana w pośladek i krok była niegroźna w porównaniu z raną Nersa, choć do dziś w moim ciele tkwi kula. Następnego dnia dowiedziałem się, że Oleńka i Ners zmarli w nocy w szpitalu. To był dla nas szok.

Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że budynek po drugiej stronie nie jest, jak sądziliśmy, pusty, lecz zajęty przez Niemców. Znów poszedłem sprawdzić, jak mieszkają się rodzice i choć miałem do przejścia tylko kilometr, droga była trudna. Wiele budynków było zniszczonych, na ziemi wałyły się stosy gruzu, a na skrzyżowaniu Żłotej i Zielnej widniał ogromny krater pełen wody. Prawdopodobnie wybuch uszkodził rury wodociągowe.

Budynek, choć zniszczony od tyłu, jeszcze stał. Z rodzicami mieszkała ciotka Jadwiga razem z mężem i znajomym. Spędziłem noc w łóżku i we własnej piżamie.

W końcu sierpnia polski rząd w Londynie prowadził negocjacje z dowództwem brytyjskim co do zrzutów nad Warszawę, i zwracał się do Stalina o pomoc dla stolicy, choćby ze względów humanitarnych, jeśli nie politycznych. Zrzuty aliantów były utrudnione ze względu na odległości – samoloty latały z Wielkiej Brytanii lub Włoch, a Warszawa była ledwo w zasięgu lotu bombowców alianckich. Siły powietrzne Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych chciały, aby Rosjanie wyrazili zgodę na lądowania samolotów na odzyskanych terenach terytorium polskiego, gdzie można było zatankować i wrócić do bazy. Dodatkowo, ponieważ samoloty latały nad terytorium Niemiec, były narażone na ataki Luftwaffe. Siły powietrzne nigdy nie otrzymały takiej zgody, a Rosjanie podawali absurdalne powody odmowy.

*Mapa: niemieckie natarcie na Powiśle, 3-10 września 1944 roku*

Innym problemem była niechęć Stalina do wyrażenia zgody na przekroczenie Wisły przez Armię Czerwoną. W końcu sierpnia przez lornetki można było dostrzec polskie jednostki Armii Ludowej pod dowództwem generała Rokosowskiego, stojące na wschodnim brzegu.

W tym czasie toczyły się rozmowy dotyczące przyszłości Europy Wschodniej, gdzie na konferencji jałtańskiej prezydent Roosevelt poparł Stalina w jego planach utworzenia

sowieckiego sektora i choć sprzeciwił się temu Churchill, został przegłosowany przez pozostałą dwójkę. Dlatego taka niewielka sprawa jak Powstanie Warszawskie była jedynie incydentem na skalę problemów konferencji. Stalin nie mógł się przyznać, że czeka na upadek Warszawy, a krytykował Armię Krajową za brak współpracy z Armią Radziecką. Amerykanie i Brytyjczycy wierzyli Stalinowi i nie kwestionowali tego, dopiero po rozpoczęciu zimnej wojny 10 czy 20 lat później.

Taka sytuacja doprowadziła do stopniowego upadku Powstania. Dowództwo Armii Krajowej nie było informowane o tym, co dzieje się w Moskwie, Londynie czy Waszyngtonie, a rząd w Londynie nie mógł czy nie chciał informować Polaków o beznadziejnej sytuacji; mówiono tylko, że toczą się negocjacje.

Co więcej, polski premier Mikołajczyk spotkał się ze Stalinem i zgodził na przyłączenie do grupy komunistów, tworzących Rząd Tymczasowy do czasu przeprowadzenia nowych wyborów. Od czasu do czasu Stalin, aby uspokoić opinie publiczną, wysyłał samoloty ze zrzutem, ale ponieważ nie używano spadochronów, większość rzeczy ulegała zniszczeniu.

Około 7 września Niemcy zaatakowali na Powiślu i w ciągu dwóch dni przejęli cały ten rejon aż do Mostu Poniatowskiego. W dalszym ciągu nie było łączności między Warszawą a polskim wojskiem w Armii Czerwonej, więc jednego dnia niewielka jednostka zdecydowała się przekroczyć rzekę. Efektem tego spotkania był rozkaz polskiego generała dywizji wysłania batalionu z Pragi na Czerniaków. Choć wstąpiła w nas nadzieja, to okazało się, że był to jedyny batalion wysłany na pomoc walczącym powstańcom.

To był ogromny cios dla Powstańców; widać było jasno, że ze strony Armii Czerwonej nie otrzymamy żadnej pomocy. Dowództwo zaczęło rozważać sytuację i zastanawiać się, jakie kroki przedsięwziąć, aby ocalić możliwie jak najwięcej ludzi, gdyż Niemcy traktowali jeńców jak terrorystów, a ludność cywilna również była dziesiątkowana.

W pierwszych tygodniach września dowództwo wojsk alianckich w Londynie ogłosiło, że Armia Krajowa jest częścią Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem Wojsk Alianckich i żołnierze powinni być traktowani zgodnie z postanowieniami Konwencji Genewskiej, a wobec jeńców niemieckich stosowane będą surowe reperkusje w przypadku nieprzestrzegania przepisów w Warszawie. W końcu zostaliśmy uznani za żołnierzy.

Nasze stanowisko w rejonie ruin restauracji Bachus było ważnym punktem, który musieliśmy utrzymać, ponieważ Niemcy mogli zaatakować nas z dwóch stron: od wschodu z rejonu Powiśla i z zachodu, od dworca kolejowego. Dlatego nasz batalion został wzmocniony siłami, które przysły ze Starego Miasta, a w pogotowiu stały jeszcze dwie kompanie. Zbudowano dwie spore barykady po obu stronach Alej Jerozolimskich, a na przecięciu Alej i Kruczej

wykopano nowy tunel dla bezpiecznego przemieszczania się. Dwa rejony były stale w naszych rękach: północny Żoliborz, odcięty przez Stare Miasto, oraz Mokotów.

W Warszawie zorganizowano punktu kontrolne, aby ludność nie przechodziła niepotrzebnie z jednego rejonu do drugiego, więc musiałem uzyskać zezwolenie, kiedy chciałem odwiedzić Waldka, syna pana Schoena, który razem z rodziną został aresztowany na początku Powstania. Przeszedłem tunelem ulicą Kruczą i poszedłem w kierunku Pięknej, gdzie miał walczyć Waldek. W połowie drogi spotkałem mojego kuzyna Andrzeja, który mieszkał z rodzicami w domku w Milanówku pod Warszawą. Dowiedziałem się z ogromną przykrością, że jego brat Jurek, który walczył na Starym Mieście, spłonął w pierwszych dniach Powstania na Woli. Reszta rodziny: wujostwo z córeczką Marysią byli w Milanówku.

Poszedłem dalej Mokotowską, żeby odwiedzić kolegę, który mieszkał pod numerem 40. Naprzeciwko jego domu mieszkała moja była dziewczyna Mona.

*Zdjęcia: niewybuchy – niemieckie pociski artyleryjskie. Zawartość pocisków używaliśmy do produkcji granatów*

Mona powitała mnie bardzo serdecznie. Usiedliśmy na sofie w salonie i zaczęliśmy rozmawiając. Mona bawiła się ze mną w kotka i myszkę, raz przytulając, a raz odpychając. Miałem odwiedzić Waldka, a z moich amorów nic i tak by nie wyszło, więc w końcu wstałem, aby się pożegnać. Przy drzwiach wyjściowych Mona nagle mocno mnie pocałowała i w tej samej chwili jakaś siła rzuciła nas na podłogę, a drzwi wylądowały na moich plecach. Mona zaczęła histerycznie krzyczeć: „Gdzie mama?!”. Spojrzałem do salonu – zamiast niego była wielka dziura, u góry widać było niebo. Na budynek spadł pocisk artyleryjski.

Jedyną drogą ewakuacji były schody. Na dole znaleźliśmy matkę Mony, która przeżyła, bo pocisk uderzył tylko w salon. Znów spotkało mnie szczęście lub była w tym ręka Boga – kilka sekund wcześniej siedzieliśmy za sofie, która nagle po wybuchu znalazła się na parterze. Pożegnałem się z Moną i poszedłem dalej. Po pierwszym szoku poczułem ból w plecach, więc zamiast szukać Waldka poszedłem do mojej jednostki, gdzie zajęła się mną sanitariuszka Ala.

W połowie września Niemcy zaczęli regularny ostrzał miasta ciężką artylerią i bombardowaniami, szczególnie na Czerniakowie, celem odcięcia nas od Armii Ludowej. Nasz jednostka starała się bardzo, aby utrzymać stanowisko przy skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej i nie dopuścić Tygrysów do barykady. Mieliśmy butelki z benzyną i broń przeciwczołgową PIAT. Ktoś, kto nigdy nie przeżył ataku czołgu, nie ma

pojęcia, jakie to jest straszne – hałas, horror i strach. Stałem na górze i widziałem, że kolegom udało się trafić w gąsienicę i czołg stanął. Zacząłem rzucać Cocktaile Mołotowa. Widzieliśmy, jak załoga stara się uciec przez dolny właz. Walka trwała około sześciu godzin, bo Niemcy ciągle atakowali. Byliśmy potwornie zmęczeni, więc kiedy przyszli inni, aby nas zwolnić, próbowałem znaleźć kawałek miejsca wśród gruzu, żeby się położyć. W końcu udało mi się znaleźć niewielki kawałek dykty i natychmiast zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, było już po walce, wstał dzień i mogliśmy udać się do naszej jednostki, żeby odpocząć i coś zjeść. Pod koniec września zaczęło nam brakować żywności, mieliśmy tylko trochę ziarna i konserwy z delikatesów, które kucharz mieszał z owsianką. Choć nie było nabiału ani warzyw, to i tak powodziło nam się lepiej niż ludności cywilnej.

Podczas ostatniej bitwy na szczęście nikt nie zginął ani nie został ranny, a unieruchomiony Tygrys stał się częścią barykady. Naszym następnym zadaniem było odbicie Bachusa i przyległego budynku z rąk Niemców, a trzeba pamiętać, że były to ruiny, choć zostało jeszcze kilka ścian i schody. Nie wiedzieliśmy, gdzie siedzą Niemcy, więc jedynym sposobem było przejmowanie kolejnych pomieszczeń aż do rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Zaczęliśmy od ulicy Widok. Na schodach było dwóch żołnierzy na zwiadach, a cały pluton szedł z tyłu, gotów przyłączyć się w każdej chwili. Szedłem razem z Markiem, który rzucił granaty, a kiedy kurz opadł, zobaczyliśmy dwa niemieckie działa przeciwpancerne. Niemców nie było widać. „Schmeisser! Schmeisser! Jest mój!”, krzyczał Marek i kiedy biegł, trafiła go kula.

Natychmiast zasygnalizowałem grupie, co się stało. Marka, rannego w brzuch, zabrali zawiniętego w prześcieradło w bezpieczne miejsce, a potem do szpitala. Marek był najmłodszy w naszej grupie i zapłacił za swoją niecierpliwość. Po obrzuceniu terenu granatami udało nam się dotrzeć do działa i zabrać go. Ja poszedłem do piwnicy, żeby sprawdzić teren, gdy nagle u moich stóp wylądował granat. Znieruchomiałem. W jednej chwili przypomniałem sobie szkolenie przed Powstaniem: kiedy wyciągnie się zawleczkę, trzeba policzyć do trzech zanim rzuci się granat, który w ciągu dwóch czy trzech sekund eksploduje.

Chwyciłem granat za rączkę i odrzuciłem do otworu, z którego wyleciał. Natychmiast eksplodował. Kolejna wygrana w rosyjską ruletkę. Nadbiegli inni koledzy i wspólnie zaczęliśmy rzucać więcej granatów. Wewnątrz znaleźliśmy ciało starszego Niemca. Zabraliśmy mu dokumenty, kartę identyfikacyjną i portfel. W środku były zdjęcia żony i dzieci. Było mi przykro.

W walce udało nam się odbić ruiny Bachusa, rzucając granaty i przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego. Straciliśmy kilku żołnierzy, a zabiliśmy 15 Niemców. Po sześciu czy siedmiu godzinach ciężkich walk zostaliśmy zmienieni przez inną grupę. Zdobyliśmy nową broń: niemiecki Schmeisser i inne. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że Marek zmarł w szpitalu. W ostatnich dniach straciliśmy tyle osób: Marka, Nersa, Oleńkę i wielu innych.

Kiedy wspominam te dni, nie mogę zapomnieć, że choć odnosiliśmy tyle strat, to byliśmy szczęśliwi, bo wszyscy byliśmy dosłownie jak bracia. Dbaliśmy o siebie, ale nie rozpaczaliśmy długo, kiedy ktoś odchodził. Byliśmy jak rzymscy gladiatorzy, idący na nierówną walkę.

Po zakończeniu walk w ruinach restauracji Bachus poszedłem odwiedzić rodzinę. Byłem zdziwiony, jak wiele zniszczeń zrobiła artyleria niemiecka w centrum miasta; praktycznie każdy budynek został trafiony. Ludziom brakowało dachu nad głową, wody i żywności, a parki zamieniły się w cmentarze. Na początku chowano zmarłych w trumnach, lecz potem zawiniętych jedynie w prześcieradła. Starano się tak chować zmarłych, aby można było zidentyfikować ich po wojnie – ten system dobrze działał, po jedynie 3% ofiar, cywilnych czy wojskowych, nie zostało zidentyfikowanych. Proces identyfikacji był utrudniany dodatkowo przez stałe bombardowania miasta, w tym i cmentarzy.

#### *Mapa – rejony przejęte przez Armię Krajową 25 września 1944 roku*

Po ogłoszeniu przez aliantów możliwości reperkusji na niemieckich jeńcach wojennych w przypadku egzekucji wykonywanych na polskich jeńcach wojennych, terror nieco zelżał, lecz ciągle byliśmy bombardowani, nie mieliśmy jedzenia, wody ani mydła. Miasto umierało. Śmierć widać było w dymach ciągnących się nad ruinami, a w powietrzu unosił się zapach palonych ciał. Było gorąco, a od miesiąca nie spadła ani kropla deszczu. Nie było wody ani lekarstw dla rannych, leżących w prowizorycznych szpitalach w piwnicach szkół, budynków publicznych czy hoteli. W niektórych miejscach ocalały jeszcze stare studnie, wokół których gromadziły się kolejki ludzi, którzy ryzykowali życie stojąc po wodę.

Po krótkim odpoczynku nasz pluton został przeniesiony w górę Alej Jerozolimskich. W budynku, gdzie byliśmy ulokowani, znajdowała się studnia, tak więc naszym zadaniem była obrona tego terenu przed Niemcami i kontrola dystrybucji wody. Dwóch wartowników miało swoje stanowiska po obu stronach budynku. Rzadko widzieliśmy partol niemiecki, więc nasze operacje szły gładko. Byliśmy w bezpiecznym miejscu w porównaniu z poprzednim

stanowiskiem, co w pewnym sensie było nagrodą za naszą waleczność (straciliśmy w walkach około 30 % ludzi).

Rankiem 20 września, po skończeniu warty, stałem na podwórku i rozmawiałem z kolegą. Mieliśmy właśnie dopilnować dystrybucji wody wśród ludności cywilnej, pilnując, aby w pierwszej kolejności wodę dostał personel szpitalny. W kolejce, ukrytej wśród ruin, czekało około 50 osób, a jednocześnie do studni mogło podejść 5, żeby uniknąć hałasu i nie sprowokować Niemców do ataku.

Kolega stał obok metalowego parkanu, a ja byłem na środku podwórza, tyłem do klatki schodowej. Nagle zaczęły wybuchać niemieckie granaty. Poczułem mocne uderzenie w udo i szybko pobiegłem pod klatkę schodową.

*Zdjęcie – studnia podobna do tej na podwórzu, gdzie zostałem ranny z powodu eksplodującego granatu*

Byłem przytomny. Widziałem, jak kolega, z którym wcześniej rozmawiałem, leżał bez ruchu na ziemi. Chwyciłem za udo; rękę miałem we krwi, a na kawałku skóry wisiał kawałek ciała. W kieszeni miałem zestaw pierwszej pomocy, więc go wyjąłem i włożyłem kawał gazy do rany, próbując to wszystko zabandażować. Chyba zemdlałem, bo kiedy się ocknąłem, niesiono mnie na noszach – w dowództwie doktor i pielęgniarka Ala zajęli się moją raną. Choć była duża, granat na szczęście nie uszkodził kości. Doktor wysterylizował mi ranę i zaszył igłą z nitką, a ponieważ nie mieliśmy środków znieczulających, ból był przejmujący.

Podczas ataku poza moim kolegą Błyskawicą zginęło również kilku cywili.

W ciągu dwóch dni, które spędziłem w szpitalu, rana otworzyła się i zaczęła ropieć. Trzeba było zdjąć szwy bez znieczulenia, co znów strasznie bolało. Zacząłem się martwić, żeby nie wdała się gangrena. Poprosiłem Leszka, żeby zawiadomił moich rodziców, że zostałem ranny. Ojciec zdecydował, że będę miał lepszą opiekę w domu, poprosiłem więc o pozwolenie opuszczenia szpitala i koło 28 września zostałem przeniesiony do rodziny.

Zaczęły wtedy krążyć pogłoski o negocjacjach dotyczących zakończenia walk przez Armię Krajową z powodu fatalnych warunków w mieście, o których wcześniej wspomniałem. Cywile opuszczający Warszawę mieli być ulokowani przez Czerwony Krzyż w Milanówku, Pruszkowie, czy Sochaczewie, a ponieważ ludzie stracili praktycznie wszystko, nie mieli powodu, aby nie opuszczać miasta. Inna sytuacja była z Armią Krajową – mieliśmy powody, aby walczyć, tym bardziej że Armia Czerwona zaczęła demonstrować swoje cele: w nowym komunistycznym reżimie byliśmy traktowani tak samo jak Niemcy.

Celem dowództwa Armii Krajowej było ocalenie jak największej liczby ludzi, zaczęto więc negocjacje honorowego zakończenia walk i poddania zgodnie z artykułami Konwencji Genewskiej.

Wobec stanowiska aliantów, że Armia Krajowa w Warszawie jest częścią polskich sił zbrojnych, generał Bór-Komorowski rozpoczął rozmowy z dowództwem niemieckim dotyczące możliwego poddania. Po sześćdziesięciu dwóch dniach walk i utrzymywania przyczółków na Wiśle, i żołnierze, i ludność cywilna zdali sobie sprawę, że nie można oczekiwać żadnej pomocy ze strony Armii Czerwonej, pomimo apeli przywódców Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych o pomoc humanitarną dla Warszawy.

### **Armia Krajowa kończy walki w Warszawie i akceptuje warunki kapitulacji**

Generał Bór-Komorowski został mianowany najwyższym dowódcą polskich sił zbrojnych. Warunki kapitulacji, ustalone pierwszego października, miały wejść w życie drugiego października i określały, co następuje: ludność cywilna miała opuścić Warszawę między 2 i 5 października, a rannymi miał zająć się Czerwony Krzyż. Uzbrojone oddziały Armii Krajowej miały opuścić miasto po ludności cywilnej i złożeniu broni. Żołnierze i personel wojskowy mieli być traktowani jako jeńcy wojenni zgodnie z warunkami Konwencji Genewskiej, a ranni mieli być przewiezieni do szpitali jenieckich w Niemczech. Uzbrojony batalion Armii Krajowej miał pozostać w Warszawie do momentu ewakuacji wszystkich rannych, a potem żołnierze mieli być przeniesieni do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Zrozumiałem wówczas, że muszę wrócić do szpitala, a rodzice wyjadą z Warszawy. Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy. Rodzice zakopali swoje pamiątki, jak dokumenty, zdjęcia, srebro w piwnicy pod węglem z myślą, że może ten, kto ocaleje, wróci. Ze sobą zabrali tylko trochę dolarów i złotych monet. Dali mi kilka złotych sztabek, a ojciec wręczył mi portfel z kopią mojego aktu urodzenia, który mam do dziś.

Drugiego października koledzy zabrali mnie z powrotem do szpitala, zorganizowanego w Hotelu Terminus. Rozstałem się rodzicami prosząc Boga, abyśmy ocaleli w tych strasznych czasach i ponownie się spotkali.

Ojca zobaczyłem znów w grudniu 1956 roku w Edmonton w Kanadzie, a matkę w lipcu 1966 roku w Warszawie.

Szpital w Hotelu Terminus był przepełniony. Pamiętam jeden incydent – po drodze do szpitala musieliśmy przejść przez lej po bombie i nagle zobaczyliśmy niemiecki patrol. Ku

naszemu zdziwieniu jeden z żołnierzy podniósł walizkę, którą dała mi matka, a którą upuściłem, i życzył mi powrotu do zdrowia.

*Zdjęcie – Armia Krajowa opuszcza Warszawę, wyjeżdżając do obozów jenieckich w Niemczech, 5 października 1944 roku*

W szpitalu wielu żołnierzy zmarło i nie doczekało ewakuacji. Ja miałem szczęście, bo rana przestała ropieć i nie groziła mi już gangrena ani amputacja nogi.. Po szpitalu kręcił się niemiecki personel medyczny, który liczył rannych. Kilka dni później przyszli do mnie koledzy z batalionu Kilińskiego, którzy mogli jeszcze pozostać w Warszawie. Leszek siadł na moim cienkim kocu i powiedział, że mamy być wywiezieni do Niemiec, a zimą będzie mróz. Następnego dnia chłopcy przynieśli mi wspaniałą ciepłą zimowy płaszcz podbity futrem z rysia, likier z restauracji Bachus i pudło konserw. Już nigdy nie zobaczyłem moich kolegów, choć wiem, że wszyscy przeżyli obóz i rozproszyli się po świecie.

W dniu ewakuacji, ósmego czy dziewiątego października, zostaliśmy przeniesieni do niemieckich wojskowych ambulansów i przewiezieni około 15 kilometrów na stację kolejową, gdzie czekał pociąg. Do obozu jechał z nami również polski lekarz. W mieście panowała cisza, co było dość dziwne w porównaniu z hałasem „ryczących krów” kilka dni wcześniej. Zaczęło padać i był to pierwszy deszcz od czasu wybuchu Powstania. Umieszczanie rannych w pociągu zajęło cały dzień; pamiętam, że dostaliśmy coś do jedzenia. Zacząłem myśleć, co dzieje się z moimi rodzicami, a kiedy pociąg ruszył, zasnąłem.

Gdy pociąg wiózł mnie coraz dalej i dalej od zniszczonego miasta, gdzie spędziłem szczęśliwe dzieciństwo, nie zdawałem sobie sprawy, że wyruszam w daleką podróż do innych kultur i cywilizacji, gdzie aby przeżyć, będę musiał uczyć się wielu rzeczy od początku. Byłem jak nowonarodzone dziecko.